

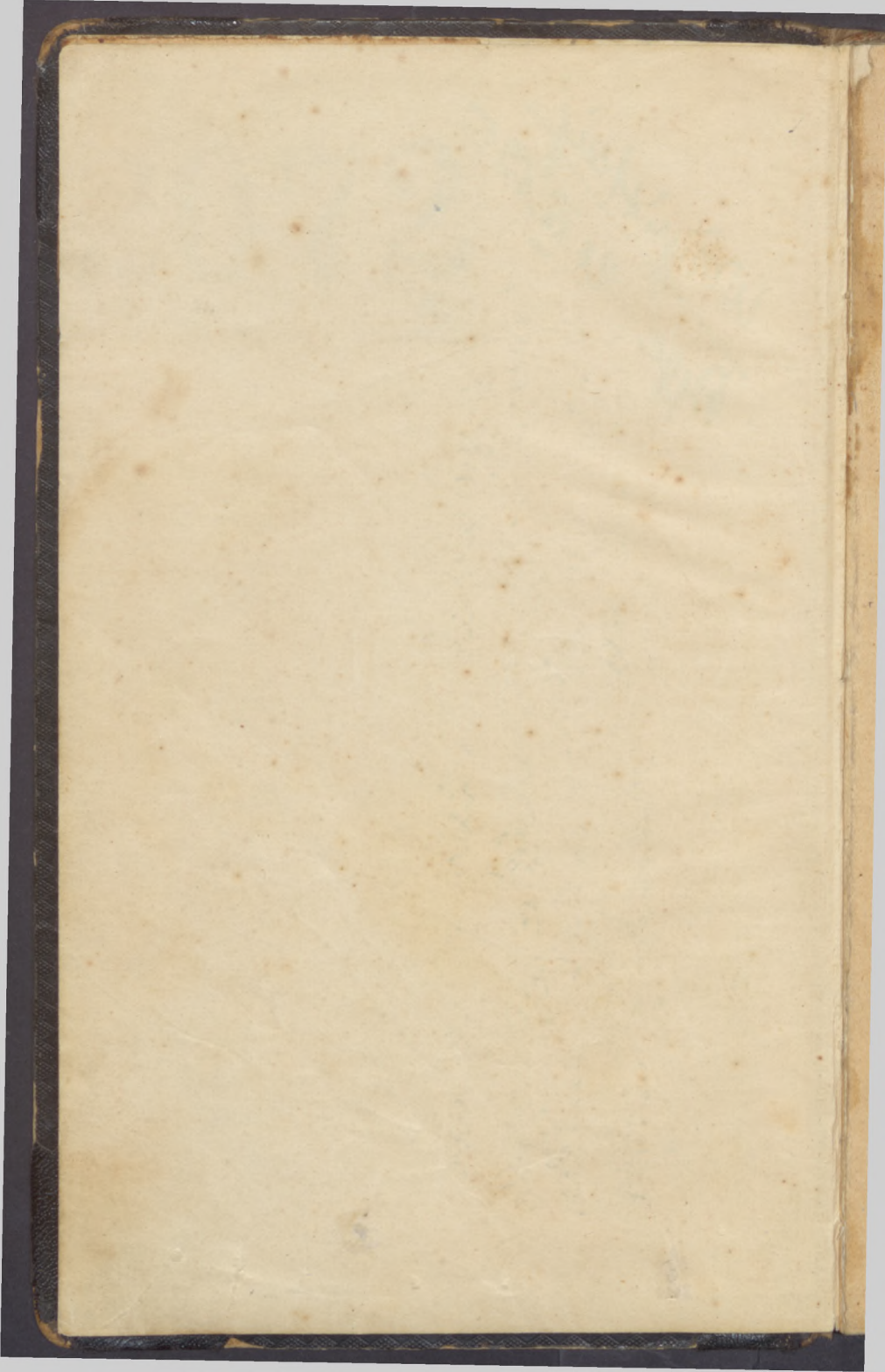
2072

B

Wagnitz  
Ryge

---

20. XV. 62 r.



284216

1-1

DODATEK BEZPŁATNY  
DLA PRENUMERATORÓW „KURJERA LITEWSKIEGO“

---

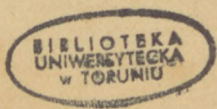
MAURYCY LEBLANC

# ZBRODNIA W ZAMKU



2072B

WILNO  
NAKŁADEM „KURJERA LITEWSKIEGO“  
1910



814661

Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

2.84/2001



## ROZDZIAŁ I.

### Zabójca znika bez śladu.

Rajmunda nasłuchiwała. W ciszy nocnej dobiegł ją tym razem zupełnie już wyraźny szmer kroków; wstała i, narzuciwszy szlafrok, skierowała się ku pokojowi kuzynki, którą spotkała już na progu:

— Która teraz może być godzina?—zapytała Zuzanna.

— Około czwartej. Czy słyszałaś?

— Tak, w sali, na dole ktoś chodzi.

— Nie obawiaj się; niema niebezpieczeństwa, obok mieszka twój ojciec.

— Ale on może być w niebezpieczeństwie...

— Jest tam przecie Daval...

— Na drugim końcu zamku... Nie usłyszysz.

Wahały się, nie wiedząc, jak mają postąpić.

Nagle Zuzanna wydała stłumiony okrzyk:

— Patrz... mężczyzna... tam... koło basenu...

Istotnie jakiś obcy mężczyzna szedł pośpiesznie przez park. Pod pachą niósł przedmiot, dość

znaczących rozmiarów; widziały, jak minął stara kaplicę i skierował się ku furtce, ukrytej w murze. Panny wyjrzały przez okno. Do balkonu pierwszego piętra przystawiona była drabina, po której schodził właśnie drugi mężczyzna, również niosąc jakiś ciężar.

Wystraszona Zuzanna, padła na kolana, szepcząc:

— Zawołajmy... zawołajmy na pomoc...

— Ale któż przyjdzie?... Twój ojciec... a jeżeli tam są jeszcze ludzie... i rzucają się na niego?

— Zadzwoń na służbę!...

Rajmunda nacisnęła dzwonek. Czekają. Zapanaowała niezmierna cisza, wśród której nagle rozległ się odgłos walki, hałas wywracanych sprzętów, urywane słowa i wykrzykniki, potem okropny jęk umierającego.

Rajmunda wypadła na kurytarz, za nią biegła, chwiejąc się, Zuzanna. Tak doszły do drzwi salonu, a otworzywszy je, zatrzymały się na progu, jak skamieniałe. Wprost nich stał mężczyzna z latarką w rękę; oświetlił nią blade twarze pańien; przypatrywał się im długą chwilę, potem zwolna, nie śpiesząc, wziął kapelusz, starł ślady na dywanie, podszedł do balkonu, obrócił się, złożył głęboki ukłon i zniknął.

Zuzanna wbiegła do buduaru, oddzielającego salon od pokoju jej ojca. Tutaj wszakże przedstawił się jej okropny widok. W świetle księżyca leżały na posadzce dwa martwe ciała. Dziewczę pochyliło się nad jednym z nich:



— Ojczy! ojczy!... to ty... — krzyknęła z rozpaczą.

Hrabia de Gévres poruszył się i wyszeptał drżącym głosem:

— Uspokój się... nie jestem ranny... A Daval? Czy żyje? Nóż?... Nóż...

W tej chwili weszło dwóch służących ze światłem. Rajmunda rzuciła się ku drugiemu ciału i poznała Jana Daval, sekretarza hrabiego. Twarz jego powlekała się bladością śmierci.

Wówczas wstała, weszła do salonu, zdjęła ze ściany, zawieszoną bronią, nabitą strzelbę i wyszła na balkon. Nieznajomy nie mógł być jeszcze daleko; istotnie spostrzegła go, idącego koło ruin starej kaplicy. Rajmunda z wolna przyłożyła broń do ramienia, wycelowała i strzeliła. Człowiek upadł.

— Doskonale, panienko, — odezwał się jeden ze służących; — ten już schwytany. Pójdę po niego.

— Nie, Wiktorze, patrz, wstaje... biegnij lepiej do furki. Tylko tamtędy może uciec.

Wiktor pobiegł, ale zanim jeszcze dostał się do parku, mężczyzna upadł znowuż. Rajmunda zawołała drugiego służącego.

— Albercie, widzisz go tam, na dole, koło kolumny?

— Tak, pełza po trawie... nie może się podnieść...

— Nie spuszczań go z oka; uciec nie może.

Naprawo ruiny, nalewo—łaka. Wiktor niech strzeże drzwi,—rzekła, biorąc fuzję.

— Przecież panienka nie pójdzie tam?

— Nie, nie,—powiedziała stanowczo,—nie bój się... mam jeszcze jeden nabój... Jeżeli się poruszy...

Wyszła. Za chwilę Albert spostrzegł, jak szła ku ruinom; krzyknął więc przez okno:

— Wślizgnął się za kolumnę. Nie widzę go... panienko, ostrożnie!...

Rajmunda obeszła dokoła starą kaplicę, ażeby odciąć obcemu możliwość ucieczki; wkrótce Albert stracił ją z oczu. Nie widząc Rajmundy dłuższy czas, zaczął się niepokoić i ze wzrokiem, utkwionym w jeden punkt dostać się usiłował do drabiny; wówczas zeszedł po niej i pobiegł wprost ku kolumnie, koło której poraz ostatni widział nieznanego. Znalazł tam Rajmundę, obszukującą miejscowość przy pomocy Wiktora.

— No, i cóż? — zapytał.

— Uciec nie może,—odrzekł Wiktor.

— A furtka?

— Wracam stamtąd... klucz mam przy sobie...

— Trzeba jednak dobrze pilnować...

— Niema obawy... nie ucieknie... Za dziesięć minut będziemy go mieli.

W tej chwili nadszedł dzierżawca folwarku, zabudowania którego widać było na prawo, w dość znacznej odległości, ale jeszcze w obrębie wałów; nie spotkał nikogo.

— Co u diabła,—odezwał się Albert, — nie

mógł przecież wymknąć się z ruin. Schował się widocznie w jakiejś norze.

Przeprowadzili najstaranniejsze poszukiwania, obejrzeni każdy krzak, poruszyli każdy kamień. Przekonali się, że kaplica jest szczelnie zamknięta i że ani jedna szyba nie została rozbita. Obeszli klasztor, przeszukali wszystkie kąty. Poszukiwania były jednak próżne.

Jedyny rezultat był ten: na miejscu, gdzie nieznamy upadł, trafiony kulą Rajmundy, znaleziono czapkę szofera z niezmiernie delikatnej, żółtej skóry. Pozatem nic więcej.

## ROZDZIAŁ II.

### Najmłodszy z dedektywów występuje na scenę.

O godzinie szóstej nadszedła żandarmerja i udała się na miejsce wypadku, posławszy przedtem umyślnego do biura policji w Dieppe z raportem, wyjaśniającym okoliczności, towarzyszące przestępstwu i wspominając o najpoważniejszym dowodzie obecności zbrodniarza: szoferskiej czapce i nożu „narzędziu zbrodni“.

O godzinie dziesiątej dwa najęte powozy stały przed zamkiem. W jednym z nich znajdował się pomocnik prokuratora z sędzią śledczym, oraz jego sekretarzem. W drugim siedziało dwóch młodych reporterów, przedstawiciele: „Journal de Rouen“, oraz jednego z największych dzienników paryskich.

Zamek d'Ambrumésy, dawniej opactwo, zniszczone podczas Rewolucji, od lat dwudziestu należące do hrabiego de Gévres, składał się z głównego korpusu i dwóch skrzydeł, otoczonych kamienną balustradą. Poprzez mury zamkowe, za równiną, zamkniętą stromemi wzgórzami normandzkimi, prześwituje błękitna linja morza.

Tutaj mieszkał hrabia de Gévres z córką Zuzanną, ślicznem, słabem stworzeniem o złotych włosach, oraz siostrzenicą swą, Rajmundą de Saint-Véran, którą przyjął do swego domu, gdy dwa lata temu nagła śmierć ojca i matki, uczyniła ją sierotą. Życie w zamku było ciche i regularne. Od czasu do czasu przyjeżdżali sąsiedzi. W lecie hrabia codziennie prawie zawoził obie panienki do Dieppe. Hrabia był to mężczyzna wysokiego wzrostu, pięknej, poważnej twarzy, całkiem już siwy. Będąc niezmiernie bogatym, sam jednak zarządzał swym majątkiem, przy pomocy jedynie sekretarza Jana Daval.

Pierwszych wiadomości o zbrodni sędziemu śledczemu dostarczył brygadjer, postawiony na straży przed bramą. Kryjówki zbrodniarza jeszcze nie odnaleziono, ale wszystkie wyjścia z parku były strzeżone. Ucieczka stawała się niepodobieństwem.

Nowoprzybyli przeszli przez główną salę i jadalnię, położone na pierwszym piętrze, skierowując się ku apartamentom drugiego. W salonie rzucał się przedewszystkiem w oczy nadzwyczajny porządek. Ani jedna rzecz, ani jedno krzesło nie zostało tu poruszone, wszystko było na swjem miejscu, niczego nie brakowało. Na lewo i na prawo wisiały wspaniałe flamandzkie gobeliny. W głębi widniały przepiękne płótna w pysznych ramach, przedstawiające sceny z mitologii. Były to słynne obrazy Rubensa, które hrabia de Gévres

odziedziczył po krewnym swym, markizie Bobadilla, grandzie hiszpańskim.

Obejrzawszy salon, sędzia śledczy rzekł:

— Jeżeli powodem zabójstwa była kradzież, bądź co bądź nie popełniono jej w tym pokoju.

— Kto to wie! — odezwał się pomocnik, mówiący niewiele, ale zawsze naprzekór swemu zwierzchnikowi.

— Gdyby tak było, złoczyńcy zabraliby przede wszystkim obrazy i gobeliny.

— Może zabrakło im czasu.

— To właśnie musimy wyjaśnić.

W tej chwili wszedł hrabia de Gévres w towarzystwie doktora. Hrabia powitał obu sędziów, poczem otworzył drzwi do buduaru.

Pokój, do którego nikt dotychczas nie wszedł, w przeciwieństwie do salonu znajdował się w największym nieładzie. Krzesła były poprzewracane, jedno złamane; zegar, papiery, lichterze leżały na podłodze. Tu i ówdzie widniały ślady krwi.

Doktor zdjął prześcieradło, zakrywające ciało. Jan Daval, ubrany w swój codzienny aksamitny garnitur i podkute buty, leżał na wznak z rozrzuconemi rękoma. Kołnierz i krawat zdjęto, na szyi widać było wążką a długą ranę.

Śmierć nastąpiła natychmiastowo, — oświadczył doktor; — od pierwszego uderzenia.

— Zapewne tym nożem, — rzekł sędzia śledczy, — który widziałem na kominku w salonie, obok skórzanej czapki?

— Tak,—potwierdził hrabia de Gévres,—nóż należał do tejże samej kolekcji broni, z której siostrzenica moja, panna de Saint-Véran wzięła fuzję. Co zaś do czapki, najwidoczniej zgubił ją zabójca.

Sędzia obejrzał pokój, zadał parę pytań doktorowi, poczem poprosił hrabiego, aby mu opowiedział wszystko, co widział i wiedział. Oto zeznania hrabiego:

— Obudził mię Jan Daval. Spałem źle i wciąż zdawało mi się, że słyszę jakiś hałas. Nagle, otworzywszy oczy, spostrzegam go przed mem łóżkiem, zupełnie ubranego, ze świecą w ręku. Wydawał się bardzo pomieszany i rzekł mi z cicha: „Ktoś jest w sali“! Wstałem i uchyliłem drzwi do buduaru, gdy w tejże chwili otworzyły się te oto drugie drzwi, prowadzące do wielkiego salonu i stanął w nich jakiś mężczyzna. Rzucił się na mnie, powalając uderzeniem w skroń. Opowiadałem to panom bez szczegółów, a to dlatego, iż pamiętam jedynie najgłówniejsze fakty, a fakty te następowały z niesłychaną szybkością.

—A potem?

— Potem nic już więcej nie wiem... straciłem przytomność... Kiedy przyszedłem do siebie, Daval leżał na podłodze, śmiertelnie raniony.

— Czy podejrzewasz pan kogo?

— Nikogo.

— Nie masz pan wrogów?

— Nic o tem nie wiem.

— I pan Daval nie miał ich także?

— Daval? wrogów? Ależ to najlepszy człowiek w świecie. Jan Daval od lat dwudziestu był moim sekretarzem i powiernikiem, otaczała go powszechna sympatja.

— Jednakże walczone tutaj, popełniono zabójstwo; musiała być do tego jakaś przyczyna.

— Przyczyna? Oczywiście, najprostszą i prawdopodobną przyczyną była kradzież.

— Czy skradziono co panu?

— Nie.

— A zatem?...

— A zatem, ponieważ nie skradziono i ponieważ nie widzę, aby mi cośkolwiek brakowało, szukajcie panowie. Córka moja i siostrzenica powiedzą wam, iż widziały dwóch mężczyzn w parku i że mężczyźni ci nieśli jakieś ciężary.

— Panny...

— Panny widziały to przez sen? Chętniebym temu uwierzył, gdyż te wszystkie poszukiwania i przypuszczenia zmęczyły mię nad wszelki wyraz. A zresztą, zapytajcie...

Sędzia poprosił obie panienki do wielkiej sali. Zuzanna, blada i drżąca, zaledwie mogła mówić. Rajmunda, energiczniejsza i odważniejsza, jak również i piękniejsza, ze złotym blaskiem w czarnych oczach, opowiedziała o wypadkach nocy i o swoim w nich udziale.

— Jesteś pani zatem zupełnie pewna tego, co mówisz?

— Najzupełniej. Mężczyźni, przechodzący parkiem, coś nieśli.



— A trzeci?

— Wyszedł stąd z pustemi rękoma.

— Czy może go pani opisać?

— Co prawda oślepił nas wciąż światłem swej latarni. Mogę jednak powiedzieć, że był wysoki i zdaje się, gruby.

— Czy takim wydał się i pani? — zapytał sędzia śledczy Zuzannę de Gévres.

— Tak...albo raczej nie... — powiedziała Zuzanna, zastanowiwszy się; — mnie wydał się średniego wzrostu i chudy.

Filel uśmiechnął się, przyzwyczajony do przeciwieństwa w zdaniach świadków o jednym i tym samym fakcie.

— Mamy zatem z jednej strony człowieka — z sali, — który jest równocześnie wysoki i niski, gruby i cienki, — z drugiej strony, dwóch ludzi, — z parku, — oskarżonych o to, że wynieśli z sali rzeczy, które przecież tu się znajdują.

Filel był dedektywem ze szkoły ironicznej, jak sam mawiał. Równocześnie był to sędzia, nie gardzący żartami, nie pomijał sposobności wykazania przed publicznością swej zręczności, to też w salonie gromadziła się coraz większa liczba świadków. Oprócz dziennikarzy znaleźli się tu: dzierżawca z synem, potem służba zamkowa i obaj stangreci, którzy przyjechali z Dieppe.

Sędzia ciągnął dalej:

— Należałoby wyjaśnić teraz, w jaki sposób zniknęła trzecia osoba. Pani strzeliła z tej fuzji i z tego okna, wszak prawda?

— Tak, mężczyzna doszedł do pomnika, ukrytego za krzakiem jałowcu, na lewo od kaplicy.

— Ale się podniósł.

— Nawpół tylko. Wiktor zeszedł natychmiast, aby strzedz furtki, ja zaś poszłam za nim, zostawiwszy tu na straży służącego, Alberta.

Albert złożył z kolei zeznania, poczem sędzia rzekł:

— A zatem, twojem zdaniem raniony nie mógł uciec ani na lewo, ponieważ twój kolega strzegł drzwi, ani na prawo, ponieważ musiałbyś go dojrzeć przechodzącego przez łąkę. Zatem, rozumując logicznie, w obecnej chwili znajduje się on na tej ograniczonej stosunkowo, przestrzeni, która rozlega się przed nami.

— Jestem tego pewien.

— A pani, panno de Saint-Véran?

— Także.

— I ja również, — odezwał się Wiktor.

Filel wziął z kominka skórzaną czapkę, obejmował ją i, zawoławszy brygadjera żandarmów, powiedział doń szeptem:

— Brygadjerze, wyślij natychmiast jednego ze swych ludzi do Dieppe, do kapelusznika Mégré, ulica de la Barreau i niechaj Mégré powie nam, jeśli może, komu sprzedał tą czapkę.

Pole poszukiwań ograniczyło się do przestrzeni, zawartej pomiędzy domem, łąką i lewym skrzydłem zamku, tworząc czworokąt, stumetrowej długości, na którym rozrzucone były ruiny

d'Ambrumésy, słynnego w wiekach średnich klasztoru.

Za bramą spostrzeżono natychmiast ślady uciekającego. W dwóch miejscach widniała zczerniała, skrzepla krew. Skręciwszy za arkady, stanowiące zakończenie klasztoru, nic już więcej nie można było dostrzedz, gdyż na gruncie, usianym sosnowymi igłami ślad stopy nie mógł się odbić. Jakimże jednak sposobem raniony mógł zniknąć z przed oczu panny de Saint-Véran, Wiktora i Alberta? Oprócz paru krzaków, najstaranniej przeszukanych przez służbę i żandarmerję, parę nagrobków nie mogło stanowić schronienia.

Sędzia śledczy kazał otworzyć kaplicę, prawdziwe arcydzieło architektury, którą oszczędził czas i rewolucja i którą wciąż restaurowano, jako jeden z cudów normandzkiego gotyku. Kaplica, wewnątrz nadzwyczaj prosta, na zewnątrz ozdobiona była mnóstwem marmurowych figurek, z których każda warta była tysiące.

Ukryć się tu wszakże było niepodobieństwem i jakże zresztą się dostać, kiedy klucz znajdował się zawsze u ogrodnika.

Poszukiwania doszły do furtki, przez którą wchodzili turyści, pragnący zwiedzić ruiny. Za nią ciągnęła się szeroka droga. Filel nachylił się; na piasku widoczne były ślady kół pneumatycznych. W tej chwili Rajmunda i Wiktor przypomnieli sobie, iż rzeczywiście po wystrzale usłyszeli jakby syk samochodu.

— Raniony połączył się ze swymi towarzyszami, — oświadczył sędzia.

— Niepodobna! — zawołał Wiktor. — Byłem tutaj, kiedy panienka i Albert jeszcze go widzieli.

— Ależ wreszcie musi gdzieś się znajdować! Z zewnątrz, albo tutaj, trzeciego przypuszczenia być nie może.

— Jest tutaj—twierdzili uporczywie służący.

Sędzia śledczy wzruszył ramionami i odwrócił się od nich ze złością. Doprawdy, głupia sprawa. Kradzież, przy której nic nie skradziono, nieuchwytny przestępca, — cieszyć się nie było czego.

Czas upływał. De Gévres zaprosił sędziów i obu dziennikarzy na śniadanie. Jedli w milczeniu; potem Filel powrócił do sali, w której badał służbę. Nagle jednak w dziedzińcu rozległ się tętent koni, a po chwili wszedł żandarm, wysłany do Dieppe.

— No cóż? widziałeś się z kapelusznikiem?— wykrzyknął sędzia, pragnąc coprędzej posłyszeć pierwszą wskazówkę.

— Widziałem się z samym p. Mégré. Czapkę tę sprzedano woźnicy.

— Woźnicy?

— Tak, woźnicy, który zatrzymał się ze swoją dorożką i poprosił o czapkę szoferską z żółtej skóry dla jednego ze swych klientów. Była tylko ta jedna czapka. Zapłacił, nie spojrzawszy nawet na rozmiar, i odjechał. Bardzo mu było śpieszno.

— Kiedy to było?

— Dzisiaj rano, o godzinie ósmej.

— Dzisiaj rano? Co pleciesz?

— Czapka była kupiona dzisiaj rano.

— Ależ to niemożliwe, ponieważ dzisiaj w nocy znaleziono ją w parku; musiała więc być kupiona dawniej.

— Dzisiaj rano. Tak mi powiedział kupiec.

Zapanowało milczenie. Sędzia śledczy, wytrącony z równowagi, usiłował połapać się w całej tej płataninie. Nagle, uderzony niespodziewaną myślą, porwał się z miejsca.

— Niech tu przyprowadzą dorożkarza, który przywiózł nas dzisiaj rano! Prędko! Dorożkarza!

Brygadjer ze swym pomocnikiem pobiegli do stajni. W parę minut potem brygadjer powrócił sam.

— Gdzie dorożkarz?

— Poprosił, ażeby mu wolno było pójść do kuchni, zjadł śniadanie, a potem...

— A potem?

— Uciekł.

— Z dorożką?

— Nie. Pod pozorem, że chce zobaczyć swych rodziców w Ouville, pożyczył sobie roweru od stajennego. Zostawił płaszcz i kapelusz.

— Nie pojechał przecież z gołą głową?

— Wyjął z kieszeni czapkę i włożył ją na głowę.

— Czapkę?

— Tak. Z żółtej skóry.

— Ależ to niepodobna! czapka leży tutaj.



— To prawda, panie sędzio, ale on miał taką samą.

Pomocnik prokuratora zaśmiał się zcicha.

— To doskonale! znakomite! dwie czapki... Jedna, prawdziwa, stanowiąca dla nas jedyny dowód rzeczowy, uciekła na głowie pseudo-dorożkarza! Druga, fałszywa, jest w pańskim ręku. To nas wystrychnął!

— Niech jada za nim! łapią! — krzyknął Filel. — Brygadjerze Kévillon, dwóch twoich ludzi niech pędzi, co koń wyskoczy!

— Teraz jest już daleko, — odezwał się pomocnik.

— Gdziekolwiekby był, musimy go dostać!

— Spodziewam się tego, panie sędzio, sądzę jednak, że poszukiwania nasze potrzebniejsze są tutaj! Przeczytaj pan tę kartkę, którą znalazłem w kieszeni płaszcza.

— Jakiego płaszcza?

— Płaszcz dorożkarza.

Pomocnik prokuratora podał Filel'owi kawałek papieru, złożony we czworo, na którym napisano ołówkiem następujące wyrazy:

„Biada pannie, jeżeli zabiła naczelnika“.

Zapanowało ogólne zamieszanie.

— Dzielny chłop, ostrzega nas, — szepnął pomocnik prokuratora.

— Panie hrabió, — powiedział sędzia śledczy, — błagam pana, nie trwóż się. A nadewszystko pani, panno de Saint- V éran. Ta groźba jest

bez znaczenia, ponieważ sprawiedliwość znajduje się tu, na miejscu. Przedsięwzięmy wszystkie środki ostrożności. Ręczę za pani bezpieczeństwo. Co zaś do panów, — dodał zwracając się do reporterów, — liczę na waszą dyskrecję. Uprzejmości mojej jedynie zawdzięczacie, że jesteście świadkami tego śledztwa i nieszlachetnie byłoby, gdybyście odwdzięczyli mi się...

Przerwał uderzony nagłą jakąś myślą; przyglądał się kolejno młodzieńcom, wreszcie podszedł do jednego z nich.

— Które z pism wysłało pana tutaj?

— Journal de Rouen.

— Masz pan Kartę redakcyjną?

— Oto ona.

Dokument był w porządku. Niepodobna się było do niczego przyczepić. Filel zapytał drugiego reportera:

— A pan?

— Ja?

— Tak, zapytuję pana, z jakiej pan jesteś redakcji?

— O mój Boże, panie sędzio, pisuję do wielu pism... wszędzie potrochu...

— Pańska karta redakcyjna?

— Nie mam jej, panie sędzio.

— A!... i dla czegoż to?

— Widzi pan, na to, żeby które z pism dało kartę, trzeba w niem stale pracować.

— No?

— A no, cóż, jestem tylko przypadkowym

współpracownikiem. Posyłam wzmianki tu i tam, drukują je... albo odrzucają, jak się zdarzy.

— Jakże się więc pan nazywasz? jakie masz papiery.

— Moje nazwisko nic panu nie powie. A papierów nie noszę przy sobie.

— Nie masz pan żadnego dokumentu, stwierdzającego pański fach?

— Nie mam żadnego fachu.

— Ależ wreszcie, łaskawy panie, — krzyknął rozzłoszczony sędzia, — dostawszy się tutaj podstępem i poznawszy tajemnice sprawiedliwości, nie wolno ci zachowywać *incognito*!

— Racz pan sobie przypomnieć, panie sędzio śledczy, — że kiedy tu przyszedłem, nie pytałeś mię pan o nic, pocóż więc miałem się sam zdradzać, a przytem nie sądziłem, ażeby śledztwo, prowadzone przez pana, miało być tajemem, ponieważ byli przy niem obecni wszyscy... nawet jeden z przestępców.

Mówił cicho, z wyszukaną grzecznością. Był to mężczyzna bardzo młody, bardzo wysoki i bardzo chudy, ubrany bez żadnej elegancji, w za krótkie palto i za ciasną marynarkę. Twarz miał różową, dziewiczą, szerokie czoło, otoczone włosami, ostrzyżonymi na jeża i nierówną, niedbale utrzymaną brodę. W jasnych oczach błyszczał rozum. Nie wydawał się ani trochę zmieszany i uśmiechał miłym uśmiechem, w którym nie można było dostrzedz śladu ironji.

Filel przyglądał mu się z wyzywającym nie-



dowierzaniem. Dwóch żandarmów wysunęło się na środek pokoju. Wówczas nieznajomy zawołał wesoło:

— Panie sędzio, przypuszczasz pan najwidoczniej, że należę do szajki rozbójników. Gdyby jednak tak było, czyżbym nie uciekł w odpowiedniej chwili za przykładem mego kolegi?

— Mogłeś pan mieć nadzieję...

— Wszelka nadzieja byłaby absurdem. Zastanów się pan nad tem, panie sędzio, a zgodzisz się pan ze mną, że logicznie...

Filel spojrział mu prosto w oczy i zapytał sucho:

— Dość tych żartów! Pańskie nazwisko?

— Izydor Beautrélet.

— Pańskie zajęcie?

— Słuchacz liceum Janson de Sailly.

Filel zdumiony wytrzeszczył oczy.

— Co mi pan pleciesz? Słuchacz liceum!...

— W liceum Janson przy ulicy de la Pompe, numer...

— A!—krzyknął Filel,— kpisz pan sobie ze mnie! To już nadto!

— Muszę przyznać, panie sędzio, że pańska niewiara zdumiewa mnie. I czemuż to nie miałbym być słuchaczem liceum Janson? Może skutek mojej brody? Niech się pan uspokoi, broda jest przyprawna.

Izydor Beautrélet wyrwał kilka pasem, upiękaszających jego podbródek, a wówczas ukazała się

młodzieńcza twarzyczka, różowa, dziecinna, prawdziwie twarz studencika.

I w dźwięcznym, wesołym uśmiechu zabłyśły jego białe zęby.

— Teraz się pan przekonałeś? Czy też potrzeba jeszcze panu dowodów? A więc przeczytaj pan słowa, skreślone ręką mojego ojca na kopercie: „Panu Izydorowi Beautrélet, uczniowi liceum Janson de Saily“.

Przekonany, czy też nie, Filel miał wciąż minę, z której łatwo było wywnioskować, że historia ta nie podoba mu się wcale. Po chwili zapytał ostro:

— Co pan tu robisz?

— Ależ... ja się uczę.

— Od tego jest liceum...pańskie...

— Zapominasz pan, panie sędzio, że mamy dzisiaj 23 kwietnia, że zatem rozpoczęły się u nas ferie wielkanocne.

— I cóż stąd?

— A to, że podczas ferji wolno mi robić to, co mi się podoba.

— Pański ojciec?...

— Mój ojciec mieszka daleko, w głębi Savoy, a ja z własnej woli przedsięwzięłem tę wycieczkę nad brzegi La-Manche.

— Z przyprawną brodą?

— O! nie. Dopiero teraz ją nalepiłem. W liceum rozmawialiśmy często o różnych okropnych przygodach, czytywaliśmy romanse kryminalne, w których ciągle się przebiegano. Wymyślaliśmy

rozmaita tajemnicze powikłania i sytuacje. Chciałem się zabawić, przyprawiłem sobie brodę, a pan tego nie zauważyłeś i wziąłeś mię za reportera z Paryża. Wczoraj wieczorem, po tygodniu podróży bez żadnych przygód, miałem przyjemność poznać mego kolegę z Rouen, a dzisiaj rano, dowiedziawszy się o wypadku w Ambrumésy, prosiłem, ażeby mi pozwolił towarzyszyć sobie i nająć konie do połowy kosztów.

Izydor Beautrélet opowiedział to wszystko z wielką, nieco naiwną prostotą, której wdziękowi niepodobna się było oprzeć. Nawet Filel, wciąż jeszcze niedowierzający, słuchał z przyjemnością, a kiedy student skończył, zapytał go, już znacznie grzeczniej:

— I jesteście pan zadowolony ze swej wycieczki?

— Nad wszelki wyraz! Tem bardziej, że nigdy nie byłem obecny przy sprawach tego rodzaju, ta zaś nie pozbawiona jest interesu.

— Ani tajemniczych powikłań, których pan tak bardzo pragnął.

— I które są tak pociągające, panie sędzio! Nie zaznałem nigdy równie silnych wrażeń, jak teraz, patrząc, jak fakty wypływają na wierzch jeden po drugim, jak się grupują i jak zwolna składają się na przypuszczalną prawdę.

— Przypuszczalną prawdę! wyobraźnia unosi cię, młodzieńcze! To znaczy, że masz pan już całkiem gotowe rozwiązanie tej zagadki?

— O! nie—odrzekł ze śmiechem Beautrélet;—tylko... zdaje mi się, że są tu takie punkty, iż wzię-

wszy je pod uwagę, niepodobna nie wytworzyć sobie jakiegoś zdania, a przytem są to poszlaki tak wyraźne, że kierując się niemi, można... dojść do pewnego wniosku.

— Hm! to się robi bardzo ciekawe i ja wreszcie czegoś się dowiem. Przyznaję bowiem z największym wstydem, że dotychczas nic nie wiem.

— Ponieważ nie miałeś pan chwili czasu, aby pomyśleć, panie sędzio. Przedewszystkiem pomyśleć.

Nigdy prawie nie zdarza się, aby fakty same w sobie nie zawierały objaśnienia.

— A podług pana, fakty, przez nas wykryte, same w sobie zawierają objaśnienie?

— Czyliż pan inaczej myślisz? Nie dostrzegłem, doprawdy, innych faktów, oprócz tych, które zostały wciągnięte do protokołu.

— Doskonale! Gdybym więc zapytał pana, co zostało skradzione z tej sali?

— Odpowiedziałbym, że wiem.

— Brawo! wiesz pan zatem więcej, aniżeli pan tego domu! Pan de Gévres ma spis swych ruchomości; pan Beautrélet go niema. Brakuje mu zapewne biblioteki o potrójnych drzwiach i figury naturalnej wielkości, których nikt nie spostrzegł. A jeśli zapytam pana o nazwisko mordercy?

— Odpowiem panu również, że znam je.

Obecni zadrżeli. Pomocnik prokuratora i reporter postąpili naprzód. De Gévres i obie panny słuchali z natężoną uwagą, zdumieni spokojną pewnością młodzieńca.

— Znasz pan nazwisko mordercy?

— Tak.

— A może i miejsce, w którym w tej chwili się znajduje?

— Tak.

Filel zatarł ręce.

— Co za szczęście! sprawa ta przyniesie zaszczyt mojej karierze. I możesz mi pan zaraz udzielić swych nadzwyczajnych wiadomości?

— Tak, zaraz... albo lepiej, jeśli to panu nie przeszkodzi, za godzinę, albo dwie, kiedy dojdziemy do końca pańskiego śledztwa.

— Nie, nie, natychmiast, mój młody panie...

Wtej chwili Rajmunda de Saint-Véran, która od początku tej sceny nie spuszczała oczu z Izydora Beautrélet, podeszła do Filel'a.

— Panie sędzio...

— Czem mogę pani służyć?

W ciągu dwóch czy trzech sekund wahała się, wpatrzona w studenta, poczem zwróciła się do Filel'a:

— Prosiłabym pana, abyś raczył zapytać tego młodzieńca, w jakim celu przechadzał się wczoraj drogą, kończącą się u furtki?

Efekt był nadzwyczajny. Izydor Beautrélet wydawał się mocno zdziwiony.

— Ja, ja! pani widziała mnie wczoraj? Do prawdy!

Rajmunda namyślała się, wpatrzona wciąż w młodego człowieka, jakby chcąc się upewnić, poczem rzekła przyciszonym głosem:

— Na drodze tej o godzinie czwartej po południu, przechodząc pod lasem, spotkałam mężczyznę pańskiego wzrostu, ubranego tak samo, jak pan, z wielką brodą, przystrzyżoną, jak pańska... i czułam najwyraźniej, że chce się ukryć.

— I tym mężczyzną byłem ja?

— Całkiem pewnie twierdzić tego nie mogę, ponieważ wspomnienia te są nieco mgliste... Jednakże... jednakże zdaje mi się... podobieństwo jest tak szczególne...

Filel nie wiedział co robić. Czyliżby, oszukany już przez jednego ze współników przestępstwa, pozwolił igrać ze sobą temu dzieciakowi, który chce uchodzić za studenta? Zapewne, dobrowolne stawienie się tutaj młodzieńca świadczyło na jego korzyść, czyliż można jednak zaręczać?...

— I co pan na to powiesz?

— Że panna de Saint-Véran myli się i że dowiedę tego, wymówiwszy jedno tylko słowo. Wczoraj, o tej porze, znajdowałem się w Dieppe.

— Trzeba tego dowieść, trzeba dowieść, kochany panie. W każdym bądź razie, zmienia to ogromnie postać rzeczy. Brygadjerze, jeden z twoich ludzi ma nieodstępować tego młodzieńca.

Na twarzy Izydora Beautrélet malował się wyraźnie gniew.

— Czy to długo potrwa?

— Dopóki nie zbierzemy potrzebnych wiadomości.

— Panie sędzio, błagam pana, zbierz je pan jaknajszybciej i w jak największej tajemnicy.

— A to dlaczego?

— Mój ojciec jest stary. Kochamy się z nim bardzo... nie chciałbym, aby niepokoił się z mego powodu.

Nieco płaczliwy ton jego głosu nie podobał się Filel'owi. Wszystko to przypominało melodramat. Mimo to przyrzekł:

— Dzisiaj wieczorem... jutro najpóźniej będę wiedział, co dalej robić.

Zbliżało się południe. Sędzia śledczy wrócił do ruin klasztornych, usunąwszy uprzednio ciekawych, i cierpliwie, pedantycznie, podzieliwszy całą przestrzeń na małe kwadraty, sam począł prowadzić śledztwo. Ale zapadł zmierzch, a poszukiwania nie posunęły się ani o krok dalej, i sędzia oświadczył całej armji reporterów, którzy przez ten czas zapełnili zamek:

— Panowie, wszystko każe nam przypuszczać, że raniony znajduje się tutaj, w naszym ręku, tymczasem w rzeczywistości niema go. A zatem, według mego zdania, musiał uciec i znajdziemy go prędzej, czy później na zewnątrz.

Jednakże, przez ostrożność, po porozumieniu z brygadjerem żandarmerji, sędzia ustanowił straż przy parku i, obejrzawszy raz jeszcze obie sale, odjechał do Dieppe w towarzystwie swego pomocnika.

### ROZDZIAŁ III.

#### Ucieczka Beautrélet'a.

Nadeszła noc. Ponieważ buduar był zamknięty, ciało Jana Daval przeniesiono do jego pokoju. Dwie kobiety, przy pomocy Zuzanny i Rajmundy, zajęły się ustawieniem katafalku. Na dole, pod pilnym nadzorem żandarma, młody Izydor Beautrélet spał na ławce, w dawnym parlatorjum. Wśród ruin i koło muru czuwali żołnierze, dzierżawca i kilkunastu wieśniaków.

Do godziny jedenastej panowała cisza, ale po jedenastej minut dziesięć na drugiej stronie zamku rozległ się wystrzał.

— Baczność, — krzyknął brygadjer. — Dwóch niech zostanie tutaj. Reszta za mną!

Puścili się pędem i obiegli zamek z lewej strony. W ciemnościach skradał się jakiś cień. Nagle drugi strzał pociągnął ich dalej, prawie już na folwark. I kiedy całą gromadą podbiegli do płotu, ogradzającego sad, na prawo od domu dzierżawcy zabłysnął ogień, a zaraz potem wzniósł się gęsty słup dymu. Palił się olbrzymi stóg siana.



— Rozbójnicy, — krzyknął brygadjer Kévil-  
lon, — to oni podpalili. Nie mogą jeszcze być dale-  
ko. Pędem!

Ale ponieważ wiatr unosił płomienie wprost  
na dom, należało przedewszystkiem odwrócić nie-  
bezpieczeństwo. Wszyscy przystąpili do ratunku  
z tem większem zapalem, że de Gévres, przy-  
biegłszy na miejsce wypadku, przyrzekł hojną na-  
grodę. Kiedy wreszcie ogień opanowano, była dru-  
ga godzina w nocy. Wszelka pogoń była próżna.

— Poszukamy w dzień, — rzekł brygadjer, —  
musieli zostawić jakieś ślady... znajdziemy je.

— Wielebym dał za to, żeby się dowiedzieć  
o powodzie tego napadu, — powiedział de Gévres.

— Podpalenie stogów siana jest przecież bez-  
celowem.

— Chodź pan ze mną, panie hrabio... potrafie  
może wskazać panu przyczynę.

Podeszli razem do ruin klasztornych. Bryga-  
djer zawołał swych żołnierzy. Nikt się jednak nie  
odezwał. Żandarmi szukali już kolegów, których  
pozostawiono na straży. Wreszcie znaleziono ich  
o kilka kroków od furtki. Siedzieli na ziemi, zwią-  
zani, z chustkami na ustach i oczach.

— Panie hrabio, — szepnął brygadjer, — daliśmy  
się podejść, jak dzieci.

— Jakto?

— Strzały... napad... pożar... wszystko to było  
zrobione rozmyślnie, aby nas stąd oddalić... Tym-  
czasem naszych ludzi związano i zrobiono swoje?

— Jako—zrobiono swoje?

— Uniesiono rannego.

— Tak pan sądzisz?

— Czy tak sądzę? Ależ to najprawdziwsza prawda. Już od dziesięciu minut o tem tylko myśle... Jakież ze mnie głupiec, że wcześniej mi to nie przyszło do głowy. Można ich było wyłapać co do jednego.

Biedny brygadjer odchodził od przytomności z gniewu.

— Ale którądy, u diabła, którądy się oni dostali? Którydy go wynieśli? I gdzie ten rozbójnik się ukrywał? Przecież cały dzień łaziliśmy tutaj i nikt tu nie mógł się schować. To chyba jakieś czary!

Brygadjer Kévillon nie mógł w żaden sposób przyjść do siebie. O świcie, kiedy otworzono parlatorjum, służące za celę więzienną Izydorowi Beautrélet, skonstatowano, że Izydor Beautrélet zniknął.

Na krześle, zgięty we dwoje spał jego dozorca.

Koło niego stała karafka, oraz dwie szklanki. Na dnie jednej z nich widać było resztki jakiegoś białego proszku.

Po przeprowadzeniu śledztwa, ustalono przede wszystkim, że Izydor Beautrélet uraczył swego dozorcę jakimś narkotykiem, następnie, że mógł

uciec tylko przez okno, znajdujące się na wysokości półtrzecia metra, i wreszcie, — ciekawy szczegół,— że nie mógł dostać się do tego okna inaczej, jak tylko po plecach swego dozorca, jak po drabinie.

## ROZDZIAŁ IV.

### Nowe wiadomości. Porwanie doktora Delâtre.

W chwili, kiedy numer znajdował się już na maszynie, nadesłano nam wiadomość, za którą wszakże odpowiedzialności nie ośmielamy się brać na siebie,—tak nam się wydaje nieprawdopodobną. Przytaczamy ją też z powyższem zastrzeżeniem.

„Wczoraj wieczorem doktor Dêlâtre, znakomity chirurg, wraz z żoną i córką znajdował się na przedstawieniu „Hernani'ego“ w Comédie Française. Na początku trzeciego aktu, to jest około godziny dziesiątej, drzwi jego łoży otwały się, jakiś jegomość, któremu towarzyszyło dwóch panów, podszedł do doktora i rzekł doń szeptem, tak jednak głośno, że pani Dêlâtre usłyszała:

— Panie doktorze, podjąłem się niesłychanie trudnego zadania i byłbym panu ogromnie wdzięczny, gdybyś raczył mi je ułatwić.

— Kto pan jesteś?

— Tésard, komisarz policji z pierwszego cyr-

kułu. Kazano mi zaprowadzić pana do sędziego Duduis, do prefektury.

— Ależ...

— Ani słowa, doktorze, błagam pana, ani jednego ruchu... zaszła nader przykra pomyłka, dlatego musimy działać po cichu i nie zwracać na siebie uwagi. Nie wątpię ani chwili, że powrócisz pan przed skończeniem przedstawienia.

„Doktor wstał i poszedł za komisarzem.

„Do końca przedstawienia nie wrócili.

„Ogromnie zaniepokojona, pani Délâtre udała się do prefektury. Tam znalazła prawdziwego Té-sard'a i ku swemu największemu przerażeniu przekonała się, że człowiek, który porwał jej męża, przedstawił się pod przybranem nazwiskiem.

„Przy śledztwie okazało się, że doktor siadł do samochodu i że samochód ten pojechał w stronę placu Zgody.

„W następnym wydaniu naszego dziennika czytelnicy znajdą dalsze szczegóły tego nieprawdopodobnego, a jednak prawdziwego zdarzenia“.

Takim też było ono w rzeczywistości. Rozwiązanie nie dało zresztą na siebie czekać, a „Grand Journal“, potwierdziwszy wszystko, wyżej powiedziane, w południowym swym wydaniu, opowiedział wkrótce, jak się zakończył wypadek w teatrze.

Koniec historii i początek przypuszczeń.

„Dzisiaj rano, o godzinie dziewiątej, doktor Délâtre został odwieziony przed drzwi domu Nr.

78 przy ulicy Duret na samochodzie, który natychmiast odjechał.

W domu pod Nr. 78 przy ulicy Duret znajduje się klinika, w której doktor Délâtre ma ranne zajęcie, o tej właśnie porze. Kiedyśmy przyszli, rozmawiał z naczelnikiem policji, mimo to jednak raczył nas przyjąć.

— Mogę panom jedynie powiedzieć,—brzmiała odpowiedź na nasze pytania,—że obchodzone się ze mną z największymi względami. Trzej moi towarzysze podróży okazali się ludźmi nadzwyczajnie miłymi, niezwykle uprzejmymi, dowcipnymi i rozmownymi, co było rzeczą nader ważną, gdyż czekała nas długa droga.

— Jak długo trwała podróż?

— Około czterech godzin i tyleż prawie z powrotem.

— A jaki był jej cel?

— Przywieziono mię do chorego, którego stan wymagał natychmiastowej pomocy chirurga.

— I operacja się udała?

— Owszem, ale mogą nastąpić komplikacje. Tutaj ręczyłbym za chorego. Tam... przy warunkach, w jakich się znajduje...

— Warunki są złe?

— Jaknajgorsze... Pokój w oberży... a przystem absolutna niemożność doglądania chorego.

— Cóż więc może go uratować?

— Cud jakiś chyba... i wyjątkowo silna budowa.

— Czy nic więcej nie mógłbyś pan nam powiedzieć o owym tajemniczym kliencie?

— Nie mogę. Przedewszystkiem—przysiągłem, a następnie otrzymałem dziesięć tysięcy franków na moją klinikę. Gdybym nie dotrzymał słowa, pieniądze te odebranoby mi.

— Tak pan sądzisz?

— Jestem tego pewien. Wszyscy ci ludzie mieli, mojem zdaniem, bardzo poważne miny.

Oto informacje, udzielone nam przez doktora Délâtre. Wiemy skądinąd, że i naczelnik policji, mimo wszelkie usiłowania, nie zdołał uzyskać szczegółowych wiadomości ani o operacji, ani o chorym, ani też o miejscowościach, przez które przejeżdżał samochód. Zdaje się, że wykrycie prawdy jest niepodobieństwem“.

Tę niepodobną do wykrycia prawdę poznały wkrótce bardziej przenikliwe umysły przy pomocy zwykłego zestawienia wypadków, jakie dnia poprzedniego zaszły w d'Ambrumésy, a które dzienniki miejscowe opisały z najdrobniejszymi szczegółami. Jasnym było, iż pomiędzy zniknięciem ranionego mordercy, a porwaniem doktora istnieje ścisły związek i należało wziąć to pod uwagę.

Śledztwo wykazało słuszność tego przypuszczenia. Zdążając śladem pseudo-dorożkarza, który zbiegł na rowerze, wykryto, iż dojechał on do lasu, położonego w odległości piętnastu kilometrów, porzucił tam rower, a sam udał się do wsi

Saint-Nicolas, skąd wysłał depeszę następującej treści:

A. L. N. Biuro 45, Paryż.

„Położenie rozpaczliwe. Operacja nieunikniona. Przywieźcie doktora czternastą narodową“.

Dowód był niezbity. Otrzymawszy depeszę, wspólnicy paryscy pośpieszyli wypełnić swe zadanie. O godzinie dziesiątej wieczorem wyprawili słynnego chirurga szosą Nr. 14, przechodzącą obok wyżej wzmiankowanego lasu i kończącą się w Dieppe. Tymczasem, dzięki pożarowi, urządzoneму przez bandę, uniesiono naczelnika i umieszczono go w jakimś zajeździe, gdzie doktor operacji dokonał.



## ROZDZIAŁ V.

### Co skradziono w zamku.

Dotychczas wszystko było jasne. Naczelny inspektor Ganimard, specjalnie delegowany z Paryża, skonstatował w okolicach d'Ambrumésy ślady kół pneumatycznych, ginące nagle o pół mili od zamku, oraz liczne odciski stóp na przestrzeni między furtką parku i ruinami klasztoru. Oprócz tego zauważył, że kłódka przy furtce była złamana.

Należało zatem odszukać tylko oberżę, o której wspominał doktor. Było to zadanie—na pozór bardzo łatwe dla inspektora Ganimard, doświadczonego i cierpliwego dedektywa. Liczba zajazdów była ograniczona, ten zaś, biorąc pod uwagę stan rannego, musiał się znajdować w pobliżu d'Ambrumésy. Ganimard, wraz z brygadjerem Kévillon'em udali się na poszukiwania. Zwiedzili i obeszukali w promieniu pięciuset metrów wszystko, cokolwiek mogło uchodzić za oberżę. Mimo to jednak, umierający wciąż pozostawał niewidzialny.

Ganimard tracił głowę. W sobotę powrócił na

noc do zamku z zamiarem rozpoczęcia nanowo poszukiwań w niedzielę. Ale w niedzielę rano dowiedział się, iż patrol żandarmerji zauważył w nocy jakiś cień ludzki, skradający się po drugiej stronie murów. Zali to czasem nie współnik, sprawdzający rezultaty poszukiwań? Zali niepodobna przypuścić, iż naczelnik bandy nie opuszczał wcale klasztoru, czy też jego okolic?

Wieczorem Ganimard ostentacyjnie przeniósł posterunek na stronę fermy, sam zaś, z pomocnikiem swym, Foliafant ulokował się za murem, przy furtce.

Mniej więcej około północy wysunął się z lasu jakiś człowiek, przeszedł pomiędzy nimi, otworzył furtkę i wślizgnął się do parku. Widzieli, jak w ciągu trzech godzin chodził wśród ruin, nachylał, odwalał odwieczne głązy, czasami kilka minut stał bez ruchu. Potem powrócił do furtki i przeszedł pomiędzy dwoma inspektorami.

Ganimard chwycił go za kołnierz, podczas gdy Foliafant trzymał go oburącz w pól. Nie stawiał oporu i najspokojniej w świecie dał się związać i odprowadzić do zamku. Ale kiedy chcieli, aby odpowiadał im na pytania, oświadczył poprostu, że nie jest obowiązany dawać żadnych wyjaśnień i że poczeka do przybycia sędziego śledczego.

Wtedy przywiązali go jak tylko mogli najmocniej do nogi łóżka w jednej ze swych sypialni.

W poniedziałek, o godzinie dziesiątej rano, gdy zjawił się Filel, Ganimard zawiadomił go o

schwytaniu jeńca. Przyprawiono go. Był to Izydor Beautrélet.

— Pan Izydor Beautrélet! — wykrzyknął Filel, z widocznym zadowoleniem, podając obie ręce wchodzącemu.—Co za miła niespodzianka! Mamy wreszcie naszego sławnego dedektywa, — amatora!... To się nazywa mieć szczęście! Jaka nieoczekiwana pomoc. Panie naczelniku, pozwól pan sobie przedstawić pana Izydora Beautrélet, słuchacza liceum Janson de Sailly.

Biedny Ganimard nie wiedział, gdzie się ma podziąć. Izydor ukłonił mu się z szacunkiem, jako starszemu koledze i rzekł do Filel'a:

-- Zdaje się, panie sędzio, iż otrzymałeś pan o mnie zadawalniające referencje.

— Wspaniale! Przedewszystkiem, byłeś pan istotnie w Dieppe w chwili, gdy pannie de Saint-Véran wydało się, iż widziała cię na ścieżce. Nie ulega wątpliwości, że odnajdziemy pańskiego sobowtóra. A wreszcie, jesteś pan naprawdę Izydorem Beautrélet, uczniem liceum, i to uczniem doskonałym, pracowitym, wzorowego sprawowania. Ojciec pański mieszka na prowincji, co miesiąc składasz pan wizytę adwokatowi jego, panu Bernau, który nie ma dość słów uznania dla pana.

— Tak, że...

— Tak, że jesteś pan wolny, panie Izydorze Beautrélet.

— Zupełnie wolny?

— Najzupełniej. Ach! prawda, pod jednym jednak małym warunkiem. Pojmujesz pan, że nie

mogę wypuścić człowieka, uciekającego się do środków usypiających, wyskakującego przez okno i zatrzymywanego na miejscu zbrodni, gdy wałęsał się po prywatnych posiadłościach. Takiego człowieka nie mogę przecież wypuścić bez okupu.

— Czekam.

— Doskonale. Przypomnijmy więc rozmowę, którą nam przerwano i powiedz mi pan, jak daleko zaszedłeś w swych poszukiwaniach... W ciągu tych dwóch dni musiałeś pan nie mało postąpić.

Widząc, że Ganimard, oburzony tego rodzaju śledztwem, zamierza odejść, sędzia zawołał:

— To jeszcze nie koniec, panie inspektorze, pańskie miejsce jest tutaj... Zapewniam pana, że pana Izydora Beautrélet warto posłuchać. Jak się dowiedziałem, cieszy się on w swoim liceum opinią obserwatora, którego oku nic ujść nie zdoła, a koledzy uważają go, jak mi wiadomo, za pańskiego współzawodnika, za współzawodnika Sherlocka Holmesa.

— Doprawdy!—wycedził ironicznie naczelny inspektor.

— Tak, tak. Jeden z tych młodzieńców napisał mi: „Jeżeli Beautrélet oświadcza, że coś wie, należy mu wierzyć, a to, co on powie, będzie niewątpliwie najzupełniej zgodne z prawdą“. Panie Izydorze Beautrélet, trafia się właśnie sposobność usprawiedliwienia pochlebnej opinii pańskich kolegów. Błagam pana, powiedz wszystko, co panu wiadomo.

Izydor, wysłuchawszy z uśmiechem tej przemowy, odparł:

— Jesteś pan okrutny, panie sędzio. Drwisz sobie z biednych uczniów, którzy bawią się, jak umieją. Masz pan zresztą słuszność i nie dam już panu powodu śmiać się ze mnie.

— To jest, nie wiesz pan nic, panie Izydorze Beautrélet.

— Istotnie, wyznaję z całą skromnością, że nie wiem nic. Nie nazywam bowiem „wiedzieć coś“ odkrycia tych paru faktów, które z pewnością nie uszły przed panem.

— Naprzykład?

— Naprzykład, przedmiotu kradzieży.

— Zarówno, jak i panu, jestem tego pewien. Jest to pierwsza rzecz, do której się zabrałem; zadanie okazało się nadzwyczaj łatwym.

— Rzeczywiście, nadzwyczaj łatwym?

— Ach, mój Boże, oczywiście. Tutaj trzeba było tylko pomyśleć.

— Nic więcej?

— Nic więcej.

— I do czegoż doprowadziło pana to myślenie?

— Oto do czego, bez żadnych komentarzy. Z jednej strony, popełniono tu kradzież, gdyż obie panny zeznają jednakowo i rzeczywiście widziały dwóch ludzi, którzy uciekając, mieli jakieś rzeczy.

Kradzież popełniono.

— Z drugiej strony, nic nie zginęło, po-

nieważ twierdzi tak pan de Gévres, a nikt lepiej od niego wiedzieć nie może.

— Nic nie zginęło.

— Z tych dwóch faktów wyciągnąć oczywiście, trzeba następujący wniosek: ponieważ kradzież została popełniona, a jednak nic nie zginęło, zatem przedmiot skradziony zastąpiono takim samym. Pośpieszam wszakże zastrzedz się, iż rozmowania tego fakty mogą nie potwierdzić. Ale oświadczam, że to przedewszystkiem winno było przyjść panu na myśl i wniosek ten możemy odrzucić dopiero po przeprowadzeniu ścisłego śledztwa.

— To prawda... to prawda...—mruzczał sędzia, nie ukrywając swego zainteresowania.

— A więc, — ciągnął dalej Izydor, cóż jest takiego w tej sali, coby mogło zwabić bandytów? Dwie rzeczy. Przedewszystkiem gobeliny. Ale to być nie może. Starego gobelinu niepodobna podrobić, fałszerstwo zaś natychmiast rzuciłoby nam się w oczy. Pozostają obrazy Rubensa.

— Co pan mówisz?

— Mówię, że cztery Rubensy, zawieszony na tej oto ścianie, są podrobione.

— To niepodobna!

— Są podrobione, a pozatem podrobione bardzo artystycznie.

— Powtarzam panu, że to niepodobna!

— Panie sędzio, mniej więcej przed rokiem, pewien młodzieniec, nazwiskiem Charinet, zjawił się w zamku d'Ambrumésy i poprosił o pozwolenie

nie zdjęcia kopji z obrazów Rubensa. Pozwolente to od pana de Gévres otrzymał. W ciągu pięciu miesięcy Charinet codziennie, od rana do nocy, pracował w tej sali. Przygotowywał kopje ram i obrazów, które zajęły miejsce czterech oryginałów, zapisanych panu Gévres przez wuja jego, markiza Bobadilla.

— Dowiedz pan tego!

— Dowieźć tego nie mogę. Obrazy są podrobione, ponieważ je podrobiono i uważam, że nie zachodzi potrzeba przyglądania się im.

Filel i Ganimard zamienili spojrzenia, nie ukrywając dłużej swego zdumienia. Inspektor nie myślał już wychodzić.

Wreszcie sędzia odezwał się:

— Trzebaby się dowiedzieć, co powie de Gévres.

Ganimard przywtórzył:

— Trzebaby go zapytać.

I kazali poprosić hrabiego, aby przyszedł do sali.

Młodzieniec odniósł prawdziwe zwycięstwo. Zmusić dwóch tak doświadczonych sędziów, jak Filel i Ganimard, do przyjęcia swego wniosku, — był to tryumf tak wielki, że każdego innego napełniłby pychą. Ale Beautrélet wydawał się nieczuły na takie zadowolenie miłości własnej i uśmiechając się spokojnie, bez śladu ironji, czekał.

Wszedł hrabia.

— Panie hrabio, — powiedział sędzia, — śledztwo nasze doprowadziło nas do pewnego,

zgoła niespodziewanego przypuszczenia, które wszakże przyjmujemy z największymi zastrzeżeniami. Być może... mówię: być może..., że złodzieje, dostawszy się tutaj, mieli zamiar skraść pańskie cztery obrazy Rubensa... albo przynajmniej zamienić je czterema kopjami... kopjami, które przed rokiem zdjął niejaki malarz Charinet. Czy nie byłbyś pan łaskaw przyjrzeć się tym obrazom i powiedzieć nam, czy to są oryginały?

Hrabia, ledwie powstrzymując niezadowolenie, spojrzął na Izydora Beautrélet, potem na Filel'a i odparł, nie podchodząc nawet ku obrazom.

— Miałem nadzieję, panie sędzio, że prawda nie zostanie wykrytą. Ponieważ jednak stało się inaczej, bez wahania oświadczam: te cztery obrazy są podrobione.

— A zatem, wiedziałeś pan o tem?

— Od pierwszej chwili.

— Czemuż dotąd nie powiedziałeś pan tego?

— Mój panie, właściciel jakiegoś cennego przedmiotu nie śpieszy się nigdy z oświadczeniem, że przedmiot ten nie jest... albo inaczej, już nie jest oryginałem.

— A jednak, był to jedyny środek odszukania ich.

— Mojem zdaniem, pozostaje jeszcze jeden, o wiele lepszy.

— Jaki?

— Nie rozgłaszać tajemnicy, nie wystraszać



moich wrogów i zaproponować im odkupienie obrazów, które muszą ich przecie nieco krępować.

— Jakże się z nimi porozumieć?

A gdy hrabia nie odpowiadał, Izidor Beautrélet rzekł:

— Za pomocą ogłoszenia. Umieszcza je zazwyczaj „Journal“, „Echo de Paris“ i „Matin“: głoszą one jedynie:

„Zgadza się wykupić obraz“.

Hrabia przytwardził skinięciem. Znowuż młodzieniec przeszedł starszych.

Ale Filel był doskonałym graczem.

— Doprawdy, kochany panie, — zawołał, — zaczynam wierzyć, iż koledzy pańscy mieli najzupełniejszą słuszność. Do diabła!... co za przenikliwość, jaki rozum!... Jeżeli tak dalej pójdzie, to my obaj z Ganimard'em nie mamy tu co robić.

— O, ta sprawa nie była wcale skomplikowana.

— Chcesz pan powiedzieć, że reszta jest trudniejsza? Istotnie, przypominam sobie, że od pierwszej chwili miałeś pan taką minę, jakbyś o tem wszystkim dawno wiedział. O ile sobie przypominam, twierdziłeś pan, że znasz imię zabójcy.

— To prawda.

— A zatem, kto zabił Jana Daval? Czy człowiek ten żyje? Gdzie się ukrywa?

— Pomiędzy nami, panie sędzio, a raczej pomiędzy panem, a faktami rzeczywistymi od samego początku zaszło nieporozumienie. Zabójca i uciekający—to dwaj zgoła odrębni ludzie.

— Co pan mówisz? — wykrzyknął Filel. — Człowiek, którego pan de Gévres widział w buduarze i z którym walczył, człowiek, którego panie widziały w sali i do którego strzeliła panna de Saint-Veran, człowiek, który upadł w parku i którego poszukujemy, ten człowiek nie jest tym samym, który zabił Jana Daval?

— Nie.

— A zatem, odkryłeś pan ślady trzeciego współnika, który zniknął przed przyjściem pańien?

— Nie.

— W takim razie nic nie rozumiem... Któż jest zabójcą Jana Dawal?

— Jan Daval został zabity...

Beautrélet urwał, myślał przez chwilę, poczem powiedział:

— Ale najprzód muszę przedstawić panu, w jaki sposób doszedłem do tego przekonania, a nawet odkryłem przyczynę zabójstwa... inaczej oskarżenie moje wydałoby się panom potworne... A ono nie jest takim, nie, wcale takim nie jest... istnieje pewien szczegół, który nie został zauważony, a który ma jednak olbrzymią wagę, a mianowicie: Jan Daval w chwili śmierci ubrany był od stóp do głowy, w trzewikach, ubrany, jak na dzień, w kołnierzu, krawacie i kamizelce. A tymczasem zbrodnia popełniona została o godzinie czwartej nad ranem.

— Hrabia mówił mi, że Jan Daval zazwyczaj pracował po nocach.

— Służba przeciwnie twierdzi, że udawał się

zawsze bardzo wczesnie na spoczynek. Przypuśćmy jednak, że nie spał, pocóż więc zgniółł swoje posłanie, aby myślano, że spał? A jeśli spał, to dlaczego, usłyszawszy hałas, ubrał się od stóp do głowy, zamiast narzucić na siebie cośkolwiek? Byłem tam w jego pokoju zaraz pierwszego dnia, kiedy panowie jedliście śniadanie: jego pantofle stały przy łóżku. Dlaczego nie włożył ich raczej, zamiast wciągać ciężkie, podkute trzewiki?

— Dotychczas nie widzę...

— Dotychczas możesz pan istotnie widzieć same tylko sprzeczności. Jednakże nie wydają się już one podejrzanemi, gdy panom opowiem, że malarz Charinet, który kopjował obrazy Rubensa, — był przedstawiony i polecony hrabiemu de Gévres przez tegoż samego Jana Daval.

— No?

— A no, stąd tylko jeden krok do wyciągnięcia wniosku, iż Jan Daval i Charinet byli współnikami. Krok ten uczyniłem, gdy pan ścigałeś zeznania.

— Zdaje mi się, że nieco zbyt pośpiesznie.

— To prawda, trzeba było dowodu rzeczowego. Jednakże w pokoju Davala, na jednej z kartek bloku znalazłem następujący adres, którego odbicie znajdowało się oprócz tego poniżej, na bibule: „P a n u A. L. N., b i u r o 45, P a r y ż.“ Nazajutrz wykryto, iż depesza, wysłana przez fałszywego dorożkarza z Saint-Nicolas, miała ten sam adres: „A. L. N. biuro 45“. Dowód rzeczowy

istnieje. Jan Daval korespondował z bandą, która zorganizowała kradzież obrazów.

Filel już się nie sprzeczał.

— Dobrze. Wszystko jest ustalone. I cóż pan stąd wnioskujesz?

— To przede wszystkim, że zbieg nie zabił Jana Daval, ponieważ Jan Daval był jego współnikiem.

— A w takim razie?

— Panie sędzio, przypomnij pan sobie, proszę, pierwsze słowa, wypowiedziane przez hrabiego de Gévres po odzyskaniu przytomności:—słowa, przytoczone przez pannę de Gévres i wciągnięte do protokołu: „Ja nie jestem raniony. A Daval?... czy żyje?... Nóż?“ I proszę zestawić z tą częścią opowiadania, również wciągniętego do protokołu, w której mówi o napadzie: „Mężczyzna rzucił się na mnie i uderzył mnie pięścią w głowę“. W jakim sposób de Gévres, straciwszy przytomność, mógł, odzyskawszy przytomność, wiedzieć, że Davala uderzono nożem?

Izydor Beaurélet nie oczekiwał odpowiedzi na swe pytanie. Zdawało się, że sam pragnie coprędzej na nie odpowiedzieć, uprzedzając wszelkie uwagi. Ciągnął więc dalej:

— A zatem, właśnie Jan Daval wprowadził wszystkich trzech bandytów do tej sali. Podczas gdy plądrowali tutaj wraz z tym, którego zwa-  
li swoim naczelnikiem, w buduarze dał się słyszeć szmer. Daval otwiera drzwi. Ujrzawszy de Gévres'a, podbiega ku niemu z nożem w ręku. De Gév-

res wrywa mu się, uderza go i pada, powalony pięścią tego właśnie człowieka, którego panie spostrzegły w parę minut później.

I znowuż Filel i Ganimard zamienili spojrzenia. Ganimard pokiwał głową, bardzo zmieszany. Sędzia rzekł:

— Panie hrabio, czy mogę wierzyć, aby wersja ta była prawdziwą?

De Gévres nie odpowiadał.

— Doprawdy, panie hrabio, milczenie pańskie pozwala nam przypuszczać... Błagam pana, mów.

De Gévres powiedział wówczas głośno i dobitnie:

— Wersja ta jest prawdziwa w każdym szczególe.

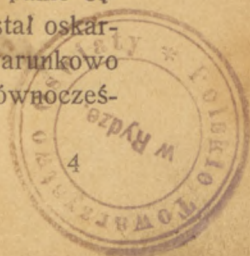
Sędzia podskoczył.

— Nie rozumiem tedy, czemu pan nas w błąd wprowadziłeś. Poco było ukrywać czyn, który miałeś pan prawo popełnić w obronie swego życia?

— Od lat dwudziestu przeszło, — odparł de Gévres, — Davał pracował dla mnie. Ufałem mu. Jeżeli zdradził mię z nieznanym mi pobudek, pragnąłem, ażeby zdrada ta nie stała się publiczną tajemnicą.

— Nie chciałeś pan, dobrze, ale powinienes pan to być uczynić.

— Nie podzielam pańskiego zdania, panie sędzio. Do chwili, kiedy nikt jeszcze nie został oskarżony o to zabójstwo, uważałem się bezwarunkowo w prawie nie obwiniać tego, który był równocześnie-



nie przestępcą i ofiarą. On umarł. Sądzę, że śmierć jest dostateczną karą.

— Ale teraz, panie hrabio, teraz, kiedy prawda została wykryta, musisz pan mówić.

— Tak. Oto bruljony dwóch listów, które wysłał do swych współników. Wyjąłem je z portfela w parę minut po jego śmierci.

— A kto namówił go do kradzieży?

— Udajcie się panowie do Dieppe, dom pod Nr. 18, przy ulicy de la Barre. Mieszka tam głośna pani Verdier. Dawał popełnić kradzież dla tej kobiety, ażeby dopomódz jej swemi pieniędzmi w potrzebie; poznał ją przed dwoma laty.

Tajemnica była wyjaśniona. Dramat wyłaniał się z wolna z mroków na światło dzienne.

— Idźmy dalej, — powiedział Filel, gdy hrabia odszedł do swych pokojów.

— Daję słowo, — zawołał Beautrélet wesoło, — jestem już prawie przy końcu mojej epepei.

— Ale zbieg, raniony.

— Co do tego, panie sędzio, wiesz pan tyle, co i ja... Wyśledziłeś pan ślady jego na trawie koło ruin klasztornych... widziałeś...

— Tak, tak, widziałem... ale potem oni go stąd porwali: chciałbym dowiedzieć się czegośkolwiek o tej oberży.

Izydor Beautrélet wybuchnął głośnym śmiechem.

— Oberża! Oberża nie istnieje! To bajka, ułożona dla zamydlenia oczu, wspaniała bajka, ponieważ w nią uwierzono.

— Jednak doktor Délâtre twierdzi...

— A, prawda,—wykrzyknął Beautrélet tonem głębokiego przekonania.—Ponieważ doktor Délâtre tak twierdzi, nie trzeba mu wierzyć. Doktor Délâtre zgodził się o przygodzie swej dać jaknajbardziej nieokreślone wiadomości. Nie chciał powiedzieć nic, coby zagrażało bezpieczeństwu jego klienta... A więc odwraca uwagę sprawiedliwości, posyłając ją do jakiejś oberży! Ależ bądź pan pewien, że jeśli wymówił wyraz „oberża“, to mu tak kazano. Bądź pan pewien, że cała ta historia, którą nam opowiedział, została mu podyktowana pod groźbą najokrutniejszego prześladowania. Doktor ma żonę. Doktor ma córkę. I zbyt je kocha, ażeby miał być nieposłuszny ludziom, potęga których jest mu znana. Oto dlaczego na pytania wasze dał tak dokładne odpowiedzi.

— Tak dokładne, że oberży ani znaleźć.

— Tak dokładne, że nie przestaniecie jej poszukiwać, wbrew wszelkiej logice; tak dokładne, iż oczy wasze odwrócą się od jedyne miejsce, w którym ten człowiek może się znajdować, od tego tajemniczego miejsca, którego nie opuszczał, którego nie mógł opuścić od chwili, kiedy, raniony przez pannę de Saint-Véran, zdołał prześlizgnąć się tam, jak zwierzę do swego legowiska.

— Ale gdzie, gdzie, u diabła?... w jaką piekielną norę?...

—W ruinach starego opactwa.

— Ależ ruin już niema! Parę metrów muru!... Kilka kolumn!...

— Tam też właśnie się zakopał, panie sędzio,—zawołał z ożywieniem Beautrélet;—na tem miejscu ograniczyć się winny pańskie poszukiwania! Tam właśnie, a nie gdzieindziej znajdziecie Arsenjusza Lupin.

— Arsenjusza Lupin! — krzyknął Filel, podskakując na krześle.

Nastąpiła uroczysta cisza. Wymówiono bowiem sławne imię. Czy to możebne, aby Arsenjusz Lupin był tym zwyciężonym, a jednak niewidzialnym przeciwnikiem, na którego polowano napróżno od tylu już dni? Arsenjusz Lupin, aresztowany, osadzony w więzieniu, — dla sędziego śledczego to natychmiastowy awans, szczęście, sława!

Ganimard milczał. Izydor zapytał go:

— Zgadzasz się pan ze mną, panie inspektorze?

— Niech djabli porwą!

— Nieprawdaż, że pan wiedziałeś od pierwszej chwili, iż nikt inny, oprócz niego, nie mógł być organizatorem tego dzieła?

— Oczywiście! Na sprawie tej jest jego podpis. Czyny Arsenjusza Lupin tak są odmienne od czynów każdego innego, jak jeden człowiek od drugiego. Trzeba było tylko otworzyć oczy.

— Tak sądzicie... tak sądzicie... — powtarzał Filel.

— Czy ja sądzę!—wykrzyknął młodzieniec.— Weźmy, chociażby, ten drobny szczegół: pod jakimi inicjałami prowadzono korespondencję?



A. L. N.—jest to pierwsza litera imienia Arsenjusza, oraz pierwsza i ostatnia nazwiska Lupin.

— Ach!—rzekł Ganimard,—nic nie ujdzie pańskiego oka. Daję słowo, mocny z pana człowiek; stary Ganimard składa broń.

Beautélet aż poczerwieniał od zadowolenia, gorąco ściskając dłoń, którą mu podał inspektor.

Wszyscy trzej podeszli do balkonu, a spojrzenia ich skierowały się na ruiny. Filel zamruczał:

— A zatem byłby tutaj.

— Jest tutaj — powiedział Beautrélet głucho:— Jest tutaj od chwili, jak upadł. Teoretycznie i praktycznie nie mógł uciec, niezauważony przez pannę de Saint-Véran, oraz dwóch służących.

— W jaki sposób dowiedziesz pan tego?

— Dowodów dostarczyli nam jego współnicy. Tegoż rana jeden z nich przebrał się za dorożkarza i przywiózł pana tutaj.

— Ażeby ukraść czapkę, dowód rzeczowy.

— Przypuśćmy, ale również i przedewszystkiem, aby zobaczyć samemu, co się stało i żeby widzieć się z szefem.

I widział się?

— Myślę, że i on znał tajemną kryjówkę. I przypuszczam, że rozpaczliwy stan jego pana wzburzył go do ostateczności, ponieważ pod wpływem niepokoju popełnił lekkomyślność niesłychaną, napisawszy groźbę: „Biała pannie, jeżeli zabiła naczelnika“.

— Ale przyjaciele jego mogli go potem stąd porwać.

— Kiedy? Pańscy ludzie nie opuszczali ruin. Przytem, dokąd go mieli przenieść? Co najwyżej o paręset metrów dalej, bo umierający nie może przecież przedsiębrać podróży... wówczas, bylibyście go znaleźli. Powiadam panu, że on tu jest. Nigdy przyjaciele jego nie mogliby dlań znaleźć pewniejszego schronienia. Tutaj też przywieźli doktora, kiedy żandarmi, jak dzieci, pobiegli na odgłos strzału.

— Ale jakże on żyje? jakże żyć będzie? Do życia potrzeba jedzenia, picia!

— Nie mogę nic więcej powiedzieć... nic nie wiem... ale on jest tutaj, przysięgam panu. Jest tutaj, ponieważ nie może tutaj nie być. Jestem tego tak pewien, jakbym go widział, jakbym go dotykał. On jest tutaj.

I wyciągnawszy palec w kierunku ruin, zarysował w powietrzu kółeczko, stopniowo je zmniejszając, aż zamieniło się w punkcik. Obaj jego towarzysze szukali uporczywie tego punktu, obaj pochyleni naprzód, obaj ożywieni tą samą wiarą, co i Beautrélet i drżąc z tego samego, co on wzruszenia. Tak, Arsenjusz Lupin był tutaj. Teoretycznie i faktycznie znajdował się tutaj. Żaden z nich wątpić już o tem nie mógł.

— A jeżeli umarł, — zapytał szeptem Filel.

— Jeżeli umarł,—rzekł Beautrélet,—i jeżeli jego towarzysze dowiedzą się o tem, drżycie o życie

panny de Saint-Véran, panie sędzio, bo zemsta będzie straszliwa.

Mineło kilka minut i mimo prośby Filel'a, zgadzającego się w zupełności ze swym sympatycznym pomocnikiem, Izydor Beautrélet, ferje którego tegoż dnia właśnie się kończyły, udał się do Dieppe. Przyjechał do Paryża o godzinie piątej, o ósmej zaś, wraz ze swymi towarzyszami, wchodził w bramę liceum Janson.

Ganimard, po przeprowadzeniu ścisłych, lecz mimo to próżnych poszukiwań w ruinach opactwa d'Ambrumésy, wrócił wieczornym pociągiem do Paryża. Przyjechawszy do domu, znalazł list, wysłany pocztą pneumatyczną, następującej treści:

„Panie inspektorze!

„Mając trochę wolnego czasu, zebrałem nieco dodatkowych wiadomości, które zapewne pana zainteresują.

„Od roku już blisko Arsenjusz Lupin mieszka w Paryżu pod nazwiskiem Stefana de Vaudré. Jestto nazwisko, które czytałeś pan zapewne niejednokrotnie w kronice światowej, lub też sprawozdaniach sportowych. Amator przygód, często podróżuje i wówczas, jak powiada, poluje bądź na tygrysy w Bengalu, bądź na czarne niedźwiedzie w Syberji. Mówi, że prowadzi interesa, chociaż niewiadomo właściwie jakie.

„Obecne miejsce jego zamieszkania: ulica Marboeuf, 36. (Proszę zauważyć, że ulica Mar-

boeuf znajduje się w pobliżu biura pocztowego Nr. 45). Od czwartku 23 kwietnia, poprzedzającego wypadki w d'Ambrumésy, o Stefanie de Vaudré niema żadnych wiadomości.

„Proszę przyjąć, panie inspektorze, zapewnienie mego najgłębszego szacunku.

Izydor Beautrélet“.

„P. S. Nie myśl pan, proszę, ażebym wiele się namęczył nad otrzymaniem tych wiadomości. W sam dzień przestępstwa, kiedy Fillel prowadził śledztwo, przyszła mi szczęśliwa myśl obejrzenia czapki zbiega, zanim fałszywy dorożkarz zdołał ją zamienić. Dość mi było nazwiska kapelusznika, ażeby pochwycić nić, która doprowadziła mię do poznania nazwiska klienta, oraz miejsca jego zamieszkania“.

Nazajutrz rano Ganimard udał się na ulicę Marboeuf pod Nr. 36. Zebrawszy informacje u szwajcara, kazał sobie otworzyć mieszkanie pierwszego piętra, elegancki apartament, w którym zresztą nie znalazł nic, oprócz popiołu w kominku. Cztery dni temu dwóch przyjaciół pana de Vaudré popaliło wszystkie kompromitujące papiery.

Jednak, wychodząc z bramy, Ganimard natknął się na listowego, niosącego list do pana de Vaudré.

Sędzia śledczy, prowadzący tę sprawę, zbadał list. Pochodził on z Ameryki, pisany był po angielsku, brzmiał zaś, jak następuje:

„Szanowny Panie!

„Powtarzam odpowiedź, daną pańskiemu agentowi. Z chwilą, gdy cztery obrazy de Gévres'a znajdą się w pańskim mieszkaniu, wyślij mi je przy pierwszej sposobności.

„Dołącz pan do przesyłki resztę, jeśli się panu powiedzie, o czem bardzo wątpię.

„Nieprzewidziana przeszkoda zatrzymuje mię tutaj, tak, że będę mógł przyjechać dopiero razem z tym listem. Znajdziesz mię pan w Grand-Hôtelu.

Podpisano: Garlinton e“.

Tegoż dnia Ganimard, zaopatrzony w specjalny rozkaz, dostawił do biura policji sir Garlinton e'a, obywatela amerykańskiego, oskarżonego o współnictwo w kradzieży i przechowywaniu łupu.

W ciągu dwudziestu czterech godzin zatem, dzięki zgoła niespodziewanym wskazówkom siedemnastoletniego chłopca, pochwycono wszystkie nici intrygi. W ciągu dwudziestu czterech godzin zburzono plan jego współników co do uratowania swego naczelnika; pojmanie Arsenjusza Lupin, ranionego, umierającego, nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości; banda jego była zdeorganizowana, dowiedziano się o jego schronieniu w Paryżu, maska, pod którą się ukrywał, została zerwana.

Wszystko to wzbudziło wśród publiczności zdumienie, zachwyt i ciekawość. Już jakiś reporter z Rouen w bardzo zręcznym artykule przy-

toczył pierwsze zeznania młodego studenta, opisując jego uprzejmość, naiwny wdzięk i spokojny humor. Nieostrożność Ganimard'a i Filel'a, niedyskrecje, które mimowolnie popełniali, dając się unieść niezadowoleniu, odrazu wystawiły Izydora Beautrélet w nader korzystnym świetle, zyskując dlań sympatję publiczności. Jemu jednemu należała się cała zasługa.



## ROZDZIAŁ VI.

### Pierwsza przestroga.

Namiętności były wzburzone. Izydor Beautré-lef wyrósł na bohatera, a tłum, łatwo się entuzjazmujący, żądał najściślejszych szczegółów o swym ulubieńcu. Reporterzy byli na usługi. Rzucili się gromadnie na liceum Janson de Sailly, pilnowali godzin rekreacji, badając uczniów i skrzętnie zbierając wszystko, co w ten, lub inny sposób dotyczyło osoby Izydora; dowiedzieli się, jakiej opinii używał wśród kolegów ten, którego nazywali współzawodnikiem Sherlocka Holmesa. Posługując się rozumem swym i logiką, bez innych wskazówek ponad te, które zamieszczono w pismach, kilkakrotnie już wskazał rozwiązanie bardzo skomplikowanych wypadków, w których policja orientowała się dopiero znacznie później.

W liceum Janson największą rozrywką było zadawanie Izydorowi trudnych zapytań, zadań, prawie nie do rozwiązania, i przyjemnie było patrzeć, z jaką pewnością, przy pomocy jedynie logicznych wniosków, odszukiwał drogę wśród naj-

głębszych ciemności. Na dziesięć dni przed aresztowaniem sklepikarza Jaris wskazał korzyść, jaką można wyciągnąć ze zgubionego parasola. W dramacie z Saint-Cloud twierdził od początku, iż szwajcar jedynie mógł popełnić zbrodnię.

Ale najciekawszem było ćwiczenie jego, krążące wśród wychowañców liceum, ćwiczenie, przepisane na maszynie i odbite w dziesięciu egzemplarzach, na temat: Arsenjusz Lupin, jego metoda, w czem jest naśladowcą, a w czem — oryginalny — na zasadzie porównania angielskiego humoru z francuską ironją.

Było to poważne studjum każdej przygody Arsenjusza, w którym czyny słynnego włamywacza Beautrélet opisywał nadzwyczaj obrazowo, wykazując cały mechanizm jego kradzieży, jego oryginalną taktykę, przytaczając jego listy w dziennikach, jego groźby, wzmianki o jego przestępstwach, wszystkie, jednym słowem, sposoby wystraszania swych ofiar i wprowadzania ich w taki stan ducha, że same nieledwie biegły na swą zgubę.

Ciekawym był widok, jak wszyscy wielbiciele odwrócili się od Arsenjusza Lupin, jak sympatja tłumu otoczyła Izydora Beautrélet, a w zawiązanej przez tych dwóch ludzi walce przewidywano zawczasu, że zwycięstwo będzie po stronie młodego studenta.

W każdym bądź razie, cała policja śledcza w



Paryżu, z sędzią Filel'em na czele, żałowała, że pozwolili mu trjumpfować.

Sytuacja zaś była następująca. Z jednej strony nie zdołano wyjaśnić osobistości sir Garlingtona'a, jak również zdobyć pozytywnego dowodu jego przynależności do szajki Lupin'a. Wspólnik, czy też nie, milczał uporczywie. Co więcej, po zbadaaniu charakteru jego pisma, nie ośmielono się twierdzić, ażeby był autorem słynnego listu. Sir Garlington, zaopatrzony w mały sakwojarz i notes, stanął w Grand-Hôtelu; oto wszystko, co wiadano napewno.

Z drugiej strony, w Dieppe Filel spoczywał na pozycjach, zdobytych dlań przez Beautrélet'a. Nie posuwał się ani o krok naprzód. Dokoła człowieka, którego panna de Saint-Véran w przeddzień wypadków wzięła za Izydora Beautrélet— wciąż ta sama tajemnica. Te same mroki otaczały wszystko, cokolwiek miało związek z porwaniem czterech obrazów Rubensa. Co się z nimi stało? Jaką drogą jechał samojazd, który zabrał je w nocy?

Aż do samej Sekwany ślady były widoczne.

Codziennie agenci Filel'a robili poszukiwania w ruinach. Codziennie nieledwie on sam rozpoczynał osobiście śledztwo od początku. Ale stąd do odkrycia schronienia, w którym umierał Lupin — jeżeli przypuszczenie Beautrélet'a było zgodne z prawdą — tak daleko, iż sędzia odległości tej zmierzyć nawet nie był w stanie.

Czyż wobec tego nie było naturalnem, że

wszyscy zwrócili się do Izydora Beautrélet? On jeden miał moc rozpraszania ciemności, które bez niego stawały się jeszcze gęstsze, jeszcze bardziej nieprzeniknione! Dlaczego on nie weźmie się do tej sprawy? Zaszedł już tak daleko, że jeden wysiłek tylko, a znalazłby się u celu.

Pytanie to zadał mu redaktor „Grand Journal’u“ pewnego razu, gdy zdołał wcisnąć się do liceum Janson pod zmyślonem nazwiskiem Bernot’a.

Na to zaś odpowiedział mu bardzo rozsądnie Beautrélet:

— Łaskawy panie, na świecie istnieje nietylko Arsenjusz Lupin, istnieją nietylko historie włamywaczy i dedektywów, jest jeszcze rzecz, nazywająca się bakalarstwem. A zatem, kończę nauki w lipcu. Teraz mamy maj. Nie chcę przepaść przy egzaminach. Coby na to powiedział mój poczciwy ojczonek?

— A coby powiedział, gdybyś pan oddał w ręce sprawiedliwości Arsenjusza Lupin?

— No, na to mamy jeszcze czas. W najbliższy wolny dzień...

— To jest na Zielone Świąta?

— Tak. W sobotę, 6 czerwca wyjadę pierwszym pociągiem.

— I wieczorem tegoż dnia Arsenjusz Lupin będzie schwytyany?

— Zostaw mi pan czas do niedzieli,—prosił, śmiejąc się Izydor.

— Na co ta zwłoka?—najpoważniej w świecie irytował się redaktor.

Tę niepojętą wiarę, obudzoną tak niedawno, a tak już niezachwianą, uczuwali względem Izydora wszyscy, jakkolwiek w rzeczywistości fakty potwierdzały ją do pewnego tylko stopnia. Ale to nic! wierzone mu. Nic dla niego nie wydawało się zbyt trudnem. Oczekiwano odeń tego, czego można było jedynie oczekiwać od jakichś nadzwyczajnych medjów: jasnowidzenia, doświadczenia zręczności. Szósty czerwca! data ta figurowała we wszystkich dziennikach. Szóstego czerwca Izydor Beautrélet wsiądzie do pośpiesznego pociągu, a wieczorem Arsenjusz Lupin zostanie aresztowany.

— O ile do tej pory nie ucieknie... — dodawali stronnicy wielkiego włamywacza.

— Niepodobna! wszystkie wyjścia są strzeżone.

— A więc, o ile nie umrze wskutek ran, — mówili wielbiciel, którzy woleli śmierć, aniżeli porażkę swego bohatera.

Ale natychmiast następowało zaprzeczenie:

— Gdyby nie żył, współnicy jego jużby o tem wiedzili, jak powiedział Beautrélet; Arsenjusz Lupin byłby pomszczony.

Nadszedł szósty czerwca. Z pół tuzina reporterów wyczekiwało Izydora na dworcu Saint-Lazarre. Dwóch z nich chciało mu towarzyszyć. Ledwo ich ubłagał, żeby tego nie czynili.

Jechał więc sam. Przedział był pusty. Zmęczony nocami, spędzonymi nad książką, zasnął wkrótce głębokim, kamiennym snem. Przez sen czuł, jak pociąg stawał na stacjach, jak wchodzili i wychodzili jacyś ludzie. Zbudziwszy się w pobliżu Rouen, był znowuż sam w przedziale. Ale wzrok jego przyciągnął do siebie wielki arkusz, przymocowany szpilką do oparcia przeciwległej ławki. Na papierze czernił się napis:

„Każdy ma swoje interesa. Zajmij się własnymi. Inaczej źle będzie z tobą“.

— Doskonale! — zawołał, pocierając z zadowoleniem ręce. — Nieświetnie mu się widocznie dzieje. Groźba ta również jest bezsensowną, jak i groźba fałszywego dorożkarza. Co za styl! odrazu widać, że to nie Lupin pisał.

Pociąg wpadł do tunelu, zapowiadającego bliskość starego normandzkiego grodu. Na dworcu Izydor przeszedł się, aby wyprostować nogi. Zamierzał już wejść z powrotem do swego przedziału, gdy nagle krzyknął. Przechodząc koło księgarni mimowoli odczytał na pierwszej stronie dodatku nadzwyczajnego „Gazety Roueńskiej“ następujące wiersze, okropne znaczenie których uderzyło go natychmiast:

„Ostatnie wiadomości. — Telefonują nam z Dieppe, iż nocy dzisiejszej do zamku d'Ambrumésy wdarli się złoczyńcy, którzy zwią-

zali pannę de Gévres, zakneblowali jej usta i porwali pannę de Saint-Véran. W odległości pięciuset metrów od zamku znaleziono ślady krwi, a nieco dalej wstążkę, również okrwawioną. Należy przypuszczać, że dziewczę nie żyje“.

Izydor Beautrélet do samego Dieppe siedział bez ruchu. Zgięty we dwoje, wsparłszy się łokciami na kolanach i opuściwszy głowę na dłonie, rozmyślał.

W Dieppe najął karete. Przy wjeździe do d'Ambrumésy spotkał sędziego, który potwierdził straszną wiadomość.

— I nic pan więcej nie wiesz? — zapytał Beautrélet.

— Nic. Zaraz wracam.

W tej chwili podszedł do nich brygadjer żandarmerji, podając sędziemu skrawek papieru, pomięty, poszarpany, żółkły, który został podniesiony w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono wstążkę. Filel obejrzał go, potem oddał Izydorowi ze słowami:

— No, już to niewiele pomoże panu w poszukiwaniach.




Beautrélet odwrócił papier. Pokryty cyframi,

punktami i znakami, zawierał on dokładny rysunek tego, co podajemy niżej:

2 . 1 . 1 . . 2 . . 2 . 1 . . 1 . .

1 . . . 2 . 2 . . 2 . 4 3 . 2 . . 2 . .

. 4 5 . . 2 . 4 . . . 2 . . 2 . 4 . . 2

D d ff  19 T + 44  3 7   
13 . 53 . . 2 . . . 25 . 2

## ROZDZIAŁ VII.

### Czy panna de Saint-Véran została zamordowana?

O godzinie szóstej wieczorem, ukończywszy wszystkie czynności, Filel w towarzystwie sekretarza Brédoux, czekał na powóz, mający go odwieźć do Dieppe. Był wzruszonym, niespokojnym. Dwukrotnie zapytywał:

— Nie widziałeś pan młodego Beautrélet'a?

— Nie widziałem, panie sędzio.

— Gdzie u diabła może się on podziewać. Nie widziano go nigdzie od południa.

Nagle przyszła mu myśl; oddał portfel sekretarzowi i puścił się pędem przez dziedziniec zamkowy ku ruinom.

Koło arkady, leżąc na wznak na ziemi, usianej sosnowemi igłami, z rękoma, padłżonemi pod głowę, drzemał Izydor Beautrélet.

— Co się stało, co ci jest, młodzieńcze? śpisz pan?

— Nie śpię,—myślę.

— Od rana?

— Od rana?

— Jest o czem myśleć! Trzeba wszystko obejrzeć. Trzeba poznać fakty; szukać wskazówek, ustalić punkty wyjścia, a potem dopiero można szeregować to w myśli i wykryć prawdę.

— Tak, wiem... To zwykła metoda... niewątpliwie bardzo dobra. Ale ja mam inną... najprzód myślę, staram się odnaleźć nić przewodnią, a potem stwarzam jakąś rozumną, logiczną fabułę, któraby odpowiadała tej ogólnej idei. I wówczas dopiero sprawdzam, czy fakty dadzą się zastosować do mojej hipotezy.

— Śmieszna metoda! zgruntu nieprawidłowa!

— Moja metoda jest prawidłowa, a pańska—nie, panie sędzio.

— Ale fakty pozostają zawsze faktami.

— Z niektórymi przeciwnikami, tak. O ile jednak nieprzyjaciel posiada przebiegłość, to wówczas nie jest faktem to, co on czyni. Te osławione poszlaki, na których opiera pan całe swoje śledztwo, mógł on sam rozwiać. A mając do czynienia z takim przeciwnikiem, jak Arsenjusz Lupin, przekonasz się pan, dokąd cię one doprowadzą; jakie błędy i głupstwa popełniać będziesz! Nawet Sherlock Holmes wpadł w pułapkę.

— Arsenjusz Lupin nie żyje.

— Przypuśćmy. Ale została jego szajka, a uczniowie takiego mistrza, sami są mistrzami.

Filel wziął Izydora za rękę i zmuszając go, aby powstał z ziemi, rzekł:

— Słowa, słowa, młodzieńcze. Oto, co tutaj jest najważniejszym. Tylko słuchaj pan mnie uważnie.



Ganimard, który wyjechał do Paryża, wróci dopiero za kilka dni. Z drugiej strony, hrabia de Gévres telefonował do Sherlocka Holmesa i ten przyrzekł swoją pomoc w przyszłym tygodniu. Młodzieńcze, zali sądzisz, że będzie bardzo przyjemnie powiedzieć tym dwóm sławom w dniu ich przyjazdu: „przykro nam, kochani panowie, ale niczego nie mogliśmy się dowiedzieć. Sprawa skończona!”

Niepodobna było szczerzej przyznać się do swej bezsilności, aniżeli uczynił to poczciwy Filel. Izidor powstrzymał uśmiech i, udając naiwnego, rzekł:

— Przyznam się panu, panie sędzio, że jeśli towarzyszyłem panu tylokrotnie przy śledztwie, to jedynie w nadziei, że zgodzi się pan powiadomić mię o swoich rezultatach. Zatem cóż pan wiesz?

— Dobrze, grajmy w otwarte karty. Wczoraj wieczorem, o godzinie 11, trzech żandarmi, pozostawieni przez brygadiera Kévillon na straży w zamku, otrzymali od swego zwierzchnika rozkaz, wzywający ich jaknajśpieszniej do Dieppe, gdzie obozuje ich brygada. Dosiedli natychmiast koni, a przyjechawszy do Dieppe...

— Przekonali się, że ich oszukano, że rozkaz był sfalszowany i że nie pozostaje im nic innego, jak powrócić do Ambrumésy.

— Co też zrobili, pod dowództwem brygadiera Kévillon. Ale nieobecność ich trwała półtorej godziny, a przez te półtorej godziny popełniono przestępstwo.

— W jakich warunkach?

— W warunkach nader prostych. Zabraną z folwarku drabinę przystawiono do trzeciego piętra. Zasuwę przepiłowano, okno otwarto. Dwóch mężczyzn z latarniami dostało się do pokoju panny de Gévres i zakneblowało jej usta, zanim zdążyła zawołać o pomoc. Potem, skrępowawszy ją sznurem, ostrożnie uchylili drzwi do pokoju, w którym spała panna de Saint-Véran. Panna de Gévres usłyszała stłumiony jęk, potem szamotanie. Po chwili zobaczyła, jak dwóch mężczyzn niesło jej kuzynkę, także skrępowaną i z zakneblowanymi ustami. Przeszli koło niej i zniknęli w oknie. Panna de Gévres z przerażenia straciła przytomność.

— A psy? Wszakże hrabia kupił dwa nawpół dzikie owczarki, które na noc spuszczano z łańcucha.

— Znaleziono je martwe, otrute.

— Ale kto to zrobił? Nikomu nie pozwalały zbliżyć się do siebie.

— Tajemnica! Wiadomo tylko, że dwóch mężczyzn przeszło bez przeszkody ruiny i umknęło przez furtkę. Potem puścili się w las... W odległości mniej więcej pięciuset metrów od zamku, pod drzewem, zwanem Wielkim dębem, zatrzymywali się... i naradzali, jak mają dalej postępować.

— A czemuż, jeśli przyszli w zamiarze zabicia pany de Saint-Véran nie zamordowali jej w jej pokoju?

— Nie wiem. Być może, że okoliczność, która wpłynęła na ich postanowienie, zdarzyła się do-

piero po wyjściu z zamku. Być może, że panna de Saint-Véran zdołała się uwolnić z więzów. Ja myślałem, że wstążka, którą podjęto, związywała jej ręce. Jakkolwiek bądź, została zamordowana pod Wielkim dębem. Zebrane przezemnie poszlaki, nie ulegają żadnej wątpliwości...

— A ciało?

— Ciało nie znaleziono, co nas dziwić nie powinno. Zdążając za śladem, doszedłem do starego cmentarza, znajdującego się na szczycie wzgórza. Jest tam przepaść przeszło stu metrowej głębokości. A w dole—skały, morze. W ciągu dwóch, trzech dni silniejszy przypływ wyrzuci ciało na brzeg.

— Zapewne. Wszystko to jest tak proste.

— Tak, wszystko to jest bardzo proste i nie dziwi mnie wcale. Lupin umarł, współnicy jego dowiedzieli się o tem i przez zemstę, jak o tem zresztą uprzedzili, zamordowali pannę de Saint-Véran—oto są fakty, których niema co nawet sprawdzać. Ale Lupin?

— Co, Lupin?

— Co się z nim stało? Najprawdopodobniej współnicy jego porwali trupa wówczas, co i pannę, ale jaki mamy na to dowód, że ciało zostało zabrane? Żadnego. Nie jesteśmy pewni jego życia, lub śmierci, jak nie byliśmy pewni, że przebywa w ruinach. I oto, w czem leży największa tajemnica. Zamordowanie Rajmundy nie rozwiązuje jej. Przeciwnie, jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Co się działo w ciągu tych dwóch miesięcy w zamku d'Ambrumésy? Jeśli zagadki tej nie roz-

wiążemy, to znajdują się, młodzieńcze; inni, którzy nas pobiją.

— I kiedy zjawią się ci inni?

— We środę... może nawet we wtorek.

Beautrélet widocznie coś obliczał, poczem oświadczył.

— Panie sędzio, dzisiaj jest sobota. W poniedziałek muszę wracać do liceum. Dobrzeby było, gdybyś się pan raczył pofatygować tutaj w poniedziałek rano, punktualnie o godzinie dziesiątej; postaram się panu wyjaśnić tę tajemnicę.

— Czy naprawdę, panie Beautrélet... tak pan sądzisz? Jesteś pan pewien?

— Mam conajmniej nadzieję.

— A teraz, dokąd pan idziesz?

— Chcę sprawdzić, czy fakty odpowiadają przewodniej myśli, która w mózgu moim staje się coraz wyraźniejszą.

— A jeżeli jej nie odpowiadają?

— Wówczas, panie sędzio, one same będą temu winne,—rzekł śmiejąc się Beautrélet,—ja zaś poszukam innych, właściwszych. A zatem—do poniedziałku.

— Do poniedziałku.

W kilka minut potem Filel jechał do Dieppe, Izidor zaś na rowerze, pożyczonym mu przez hrabiego, pędził drogą z Herville do Caudebec.

## ROZDZIAŁ VIII.

### Poszukiwania.

W sprawie tej znajdował się pewien punkt, co do którego Beautrélet wytworzył sobie określone zdanie, ponieważ punkt ów właśnie wydawał mu się słabą stroną nieprzyjaciela. Przedmioty tych rozmiarów, co obrazy pana de Gévres, nie nikną bez śladu. Gdzieś muszą się znajdować. Jeśli w danej chwili niepodobna ich odszukać, niemniej wszakże można dowiedzieć się, którądy je wzięto.

Hypoteza Beautrélet'a była następująca: automobil zabrał cztery obrazy, ale nie dojeżdżając do Caudebec'u, przełożono je na drugi automobil, który przeprowił się przez Sekwanę poniżej, albo powyżej Caudebec'u.

Jeżeli niżej — pierwszy prom będzie w Kilebeuf, leżącym przy szosie niezmiernie ruchliwej, zatem niebezpiecznej. Niżej — a więc—przez prom Melleré, wielkie, odosobnione miasto, pozbawione wszelkiej nieledwie komunikacji.

Okolo północy Izydor przebiegł ośmdziesiątą milę, dzielącą go od Melleré i zastukał do drzwi zajazdu, w pobliżu morza. Tu przenocował, nazajutrz zaś jął rozpytywać marynarzy.

Przejrzano księgę pasażerów. We czwartek, 23 kwietnia, nie przejeżdżał ani jeden samojazd.

— A więc może kareta, — nalegał Beautrélet, — powóz, fura?

— Nie.

Izydor szukał całe rano. Miał już zawracać do Kilebeuf, kiedy służący zajazdu, w którym stanął, powiedział mu:

— Tego rana wracałem z urlopu i widziałem jakąś karete, ale ta nie przejeżdżała przez rzekę.

— Jakto?

— Wprowadzono ją na płaską łódź, na szalupę, jak tu mówią, oczekującą przy brzegu.

— A ta kareta skąd przyjechała?

— O! poznałem ją doskonale, to był jeden z powozów pana Vattinel'a, co ma remizę,

— Gdzie on mieszka?

— W wiosce Humbleville.

Beautrélet spojrział na mapę sztabu generalnego. Wioska Humbleville leżała na skrzyżowaniu się drogi z Ivetau do Caudebec'u, oraz krętej dróżki, wiodącej przez las do Melleré.

Zaledwie o godzinie szóstej rano Izydor zdo-

łał odszukać w jakiejś karczmie powoźnika Vattinela, jednego z tych przebiegłych normandczyków, co to mają się zawsze na ostrożności, nie dowierzają nigdy obcym, ale którzy nie potrafią się oprzeć pokusie brzęczącej monety oraz działaniu paru kieliszków.

— Tak, panie, tego rana ludzie z automobilem naznaczyli mi spotkanie o piątej godzinie na rozstaju. Oddali mi cztery wielkie paki. Jeden z nich poszedł ze mną. Rzeczy przewieźliśmy do szalupy.

— Mówicie o nich, jakbyście ich już dawniej znali.

— Naturalnie, że ich znam. Wtedy już szósty raz pracowałem dla nich.

Izydor drgnął.

— Mówicie, że szósty raz?... od jakiego czasu?

— A cały czas przedtem, ale wtedy było co innego... wielkie kawałki kamienia... albo zupełnie małe, dosyć długie, zawinięte w gazety. Przenosili to, jak jakie świętości. Szkoda, że nie pomacałem. ...ale co to się panu stało? Błady pan jak trup.

— To nic... w izbie jest okropnie duszno.

Beautélet wyszedł ślaniając się. Radość, niespodziane odkrycie, ogłuszyły go.

Wrócił już całkiem spokojny; na noc poszedł do wsi Varengeville; następnego dnia cały ranoek spędził w merostwie z nauczycielem ludowym, poczem wrócił do zamku. Tam czekał nań list. List zawierał następujące słowa:

„Drugie ostrzeżenie. Milcz. Inaczej“...

— Aha, — rzekł do siebie, — muszę bezwarunkowo przedsięwziąć jakieś środki dla zabezpieczenia swej osoby. Inaczej, jak powiadają...

---



## ROZDZIAŁ IX.

### Okradziona kaplica.

Była godzina dziewiąta zrana. Beautrélet przechadzał się wśród ruin, potem wsparł o arkadę i zamknął oczy.

— No, młodzieńcze, czy zadowolony pan jesteś ze swej wycieczki?

Był to Filel, przed oznaczoną porą stawiający się na spotkanie.

— Zachwycony, panie sędzio!

— Co to znaczy?

— To znaczy, że jestem gotów dotrzymać swego przyrzeczenia... nie zważając na ten oto list, w którym zabraniają mi to uczynić.

Podał list swemu rozmówcy.

— A to historia! — zawołał sędzia, — ale ja mam nadzieję, iż nie przeszkodzi panu...

— Powiedzieć, co wiem? Bynajmniej, panie sędzio. Przyrzekłem i dotrzymam słowa. Za dziesięć minut dowiemy się... części prawdy.

— Części?

— Tak, mojem zdaniem, wykrycie schronienia Arsenjusza Lupin nie rozwiązuje jeszcze sprawy. Daleko do tego. Ale o tem, potem.

— Panie Beautrélet, nic już mię w panu nie jest w stanie zadziwić. Ale w jaki sposób zdołał pan to odkryć?...

— O! całkiem poprostu. W liście sir Garlingtone'a do Stefana de Vaudré, inaczej do Lupin'a, znajduje się...

— W przejętym liście?

— Tak, znajduje się pewne zdanie, które zawsze mię intrygowało. A mianowicie zdanie: „Do przesyłki obrazów proszę dołączyć r e s z t ę, jeśli się wam powiedzie, o czem mocno wątpię“.

— Tak, przypominam sobie.

— Co za reszta? Dzieło sztuki, coś rzadkiego, a cennego? W zamku niema nic takiego, oprócz obrazów Rubensa i gobelinów. Drobiazgi? niewiele ich jest, a wszystkie średniej wartości. A więc cóż? Z drugiej zaś strony, czyli można przypuścić, aby człowiek tego rodzaju, co Lupin, tak potwornie zręczny, nie potrafił przyłączyć do przesyłki t e j r e s z t y, zamierzając to widocznie uczynić? Zapewne, przedsięwzięcie było trudne, wyjątkowe, ale możliwe, zatem prawdopodobne, ponieważ dokonać go chciał Lupin.

— Jednakże nie udało mu się: nic nie zginęło.

— Udało mu się: coś zginęło.

— Tak, obrazy Rubensa... ale...

— Obrazy Rubensa i jeszcze coś... coś... co zamienili podobną rzeczą, jak to uczynili z Ruben-

sami, coś bardziej niezwykłego, aniżeli obrazy Rubensa.

— Cóż wreszcie? nadużywasz pan mojej cierpliwości!

Podczas tej rozmowy podeszli ku furtce i znajdowali się właśnie koło kaplicy.

Beautélet przystanął.

— Czy chcesz pan się dowiedzieć, panie sędzio?

— Czy chcę!!!

Beautélet trzymał w ręku ciężką, sękatą laskę. Zamierzwszy się nią z całej siły, rozbił na kawałki jedną z figurek, zdobiących portal kaplicy...

— Oszalałeś pan! — krzyknął Filel rozgniewany i rzucił się ku potłuczonej figurce.— Jesteś pan warjat! Ten posążek był cudowny...

— Cudowny! — odezwał się Izydor, strącając laską drugą figurkę, która padła strzaskana.

Filel pochwycił go oburącz w pól.

— Młodzieńcze, nie pozwolę ci na to...

Spadły jeszcze dwa posążki.

— Jeden ruch, a będę strzelał.

Nagle ukazał się hrabia de Gévres, uzbrojony w rewolwer.

Beautélet wybuchnął głośnym śmiechem.

— Strzelaj pan do góry, panie hrabio... strzelaj pan do góry, jak w strzelnicy... Do tej oto figurki, która zasłoniła głowę rękami.

I uderzył laską po posążku.

— Ach! — zawołał hrabia, celując doń z rewolweru; — taka profanacja!... takie arcydzieło!

— Z tektury, panie hrabio!

— Jak? Co pan mówisz? — wykrzyknął Filel, odbierając rewolwer hrabiemu.

— Z tektury, — powtórzył Izydor, — z papier maché!

— A!... czy podobna?

— Z głupstwa, z niczego!

Hrabia nachylił się i podniósł kawałek posążka.

— Przypatrz się pan dobrze, panie hrabio... z gipsu! ze spleśniałego, pomalowanego na stary kamień, gipsu... ale z gipsu... oto wszystko, co zostało z tych sławnych arcydzieł... oto, co działali w ciągu kilku dni!... oto co rok temu przygotował pan Charinêt, kopując obrazy Rubensa.

I on teraz pochwycił za rękę Filel'a.

— Co pan o tem myślisz, panie sędzio? To piękne, co? wspaniałe, potworne? Skradziono kaplicę! całą kaplicę gotycką, ciosaną w kamieniu! Pochwycono do niewoli całe plemię posążków: zamieniono je człowieczkami z papier maché! skonfiskowano jeden z najwspanialszych zbiorów z czasów największego rozkwitu sztuki! Okradziono kaplicę. Czy to nie jest potworne? Ach! panie sędzio, jakimże genjuszem jest ten człowiek!

— Pana to zachwyca, panie Beautrélet?

— Nigdy dość zachwytu, panie sędzio, gdy chodzi o takiego człowieka! Wszystkiem, co wyrasta nad zwykłą miarę, należy się zachwycać. A ten człowiek, panie sędzio, przewyższa wszyst-

kich. W kradzieży tej tyle jest myśli, taka siła i potęga, że drzę poprostu z podziwu.

— Szkoda, że umarł, — roześmiał się Filel, — nie będzie mógł ukraść wieży Nôtre Dame.

Izydor wzruszył ramionami.

— Nie śmieję się, łaskawco; ten człowiek, martwy nawet, może cię w proch obrócić!

— Nie przeczę... nie przeczę, panie Beautrélet, przyznaję, że nie bez pewnego wzruszenia spojrzę nań... jeśli jego koledzy nie zabrali już trupa.

— A zwłaszcza, zważywszy, — dodał hrabia de Gévres, — że był to człowiek, którego zraniła moja biedna siostrzenica.

— Tak, to był on, panie hrabio, — potwierdził Beautrélet, — on to był, wierzcie mi, mężczyzna, który padł wśród ruin od kuli panny de Saint-Véran; on to był, którego widziała, jak podniósł się u arkady, aby powstać poraz ostatni, i dojść do tej kamiennej kryjówki, która miała się stać dlań grobem.

I Beautrélet uderzył laską o próg kaplicy.

— Jakto? co? — wykrzyknął zdumiony Filel... — grobem? — Sądysz pan, że ta nieprzenikniona kryjówka...

— Znajduje się tutaj... tam... — powtórzył chłopiec.

— Kaplicę przeszukaliśmy.

— Tutaj niema żadnej kryjówki, — protestował hrabia; — znam doskonale kaplicę.

— Nie, panie hrabio, jest tutaj tajemna kryjówka. Udaj się pan na merostwo w Varengevil-

le, gdzie przechowują się wszystkie dokumenty, zabrane z dawnego opactwa d'Ambrumésy, a dowiesz się, że pod kaplicą tą znajdowała się podziemna pieczara. Pieczara ta kończyła się niewątpliwie w kaplicy romańskiej, na której miejscu wzniesiono obecną.

— Skądże Lupin mógł znać ten szczegół?

— Całkiem prosto. Dowiedział się o nim z dzieł, które musiał przeczytać, ażeby skraść kaplicę.

— No, no, panie Beautrélet, zadaleko pan zachodzisz. Nie ukradł przecież całej kaplicy. Wszakże ani jeden z tych kamieni węgielnych nie został poruszony.

— Oczywiście zamienił i wziął to tylko, co ma jakąś wartość artystyczną: rzeźby, posążki, wszystkie skarby, zdobiące kolumny. Fundamenty ocalały.

— A zatem, panie Beautrélet, Lupin nie mógł się dostać do pieczary.

W tej chwili wrócił de Gévres, który poszedł był po klucz od kaplicy. Otworzył drzwi. Weszli.

Obejrawszy się na wszystkie strony, Beautrélet ciągnął dalej:

— Płyty w posadzce oszczędzono. Ale łatwo się przekonać, że główny ołtarz podrobiony. Schody, prowadzące do pieczary, mają przejście przed ołtarzem, a idą pod nim.

— I co pan stąd wnioskuje?

— Wniosuję stąd, że Lupin znalazł pieczarę, pracując tutaj.



Beautrélet postawił nogę na pierwszym szczeblu.

Szczebli było ośmnaście; liczył je machinalnie, oglądając pieczarę, w której blade światło świecy walczyło z gęstym mrokiem. Ale na dole zamroczyła go uderzająca, wstrętna woń, woń zgnilizny, jakiej długo niepodobna zapomnieć. Okropny zapach, od którego mdleje serce...

Nagle jakaś drżąca ręka pochwyciła go za ramię.

— No, co takiego?

— Beautrélet, — bełkotał Filel. — Beautrélet...

Przerażenie nie dozwalało mu mówić.

— Panie sędzio, odwagi...

— Beautrélet... on jest tutaj...

— Kto?

— Ktoś leży pod głazem, który oderwał się od ołtarza... zawadziłem o kamień i dotknąłem... o! nigdy nie zapomnę...

— Gdzie on jest?

— Z tej strony... Czujesz pan tę wstrętą woń?... a teraz patrz...

Porwał świecę, kierując światło na nieruchomą masę, spoczywającą na ziemi.

— Och! — krzyknął Beautrélet z wyrazem najwyższego przerażenia.

Wszyscy trzej nachylili się. Leżał przed nimi nawpół nagi trup, wychudły, straszny, Tu i owdzie poprzez rozdarte ubranie przeglądało posiniałe ciało. Ale co było najokropniejsze, i co właśnie wyrwało okrzyk przerażenia z ust chłopca, to to, że



głowa trupa była zmiążdżona; głowa ta, zdeformowana, stanowiła ohydną masę, w której niepodobna było nic rozpoznać, a gdy oczy ich oswoiły się z ciemnością, spostrzegli, że całe to okropne ciało roilo się od robactwa...

W czterech skokach Beautrélet wydostał się po drabinie na górę i wybiegł na świeże powietrze.

Filel znalazł go, leżącego na wznak, z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Winszuję ci, Beautrélet, — rzekł sędzia, — oprócz wykrycia pieczary, były jeszcze dwa punkty, przekonywające mię o ścisłości twoich obserwacji. Przedewszystkiem człowiek, do którego strzelała panna de Saint-Véran, był Arsenjuszem Lupin, jak pan od początku twierdziłeś. Prawdą jest, że mieszkał pod nazwiskiem Stefana de Vaudré w Paryżu. Bielizna znaczone jest literami S. V. Zdaje mi się, że jest to dowód wystarczający...

Izydor leżał bez ruchu.

— Hrabia kazał zaprządz do powozu. Pojechali po doktora, ażeby skonstatował śmierć. Mojem zdaniem, nastąpiła ona conajmniej przed tygodniem. Stan rozkładu, w jakim ciało się znajduje... ale pan, zdaje się, nie słuchasz?

— Owszem, owszem.

— Wszystko, co mówię, oparte jest na ścisłym rozumowaniu. Tak, naprzykład...

I Filel opowiadał dalej, nie doczekawszy się żywszych oznak zainteresowania. Dopiero powrót hrabiego położył tamę jego wymowie.

Hrabia niósł dwa listy. W jednym z nich znaj-

dowała się wiadomość o przyjeździe Sherlocka Holmesa.

— Doskonale! — zawołał wesoło Filel. — Inspektor Ganimard również jutro przyjeżdża. To będzie wspaniałe.

— Drugi list jest do pana, panie sędzio,—rzekł hrabia.

— Jeszcze lepiej,—powiedział Filel, przeczytawszy list. — Jasnem jest, że ci panowie nie będą tu mieli nic do roboty. Panie Beautrélet, donoszą mi zDieppe, że rybacy znaleźli dzisiaj na skałach ciało młodej kobiety.

Beautrélet zerwał się z ziemi.

— Co pan mówisz? ciało...

— Młodej kobiety... ciało w stanie okropnego rozkładu, które trudno byłoby poznać, gdyby nie to, że na prawej ręce został cienki, złoty lancuszek. Panna de Saint-Véran nosiła zawsze na prawej ręce złotą bransoletkę tego fasonu. Jasno, że jestto ciało pańskiej biednej siostrzenicy, którą morze aż tam wyrzuciło. Cóż pan na to, Beautrélet?

— Nic... nic... albo raczej... wszystko składa się, jak przepowiedziałem; przypuszczenia moje sprawdzają się w zupełności. Wszystkie fakty, jeden za drugim, nawet pozornie najsprzeczniesze, w rezultacie stwierdzają hipotezę, wypowiedzianą przezemnie zaraz na początku.

— Nie rozumiem.

— Wkrótce pan zrozumiesz. Pamiętaj pan, że przyrzekłem opowiedzieć całą prawdę.

— Zdaje mi się jednak...

— Trochę cierpliwości, panie sędzio. Dotychczas nie mogłeś się pan na mnie uskarżać. Przejdź się pan, zjedz śniadanie w zamku, wypal cygaro. Ja wrócę o czwartej, albo o piątej. A do liceum, niestety, pojedę dopiero nocnym pociągiem.

Znajdował się w pobliżu zabudowań gospodarskich. Beautrélet wskoczył na rower i zniknął.

W Dieppe stanął przed kantorem dziennika „Straż“ i kupił wszystkie numery z ostatnich dwóch tygodni. Potem pojechał do Anvermé, położonego w odległości dziesięciu kilometrów. W Anvermé widział się z merem, z proboszczem i żandarmem. Na wieży ratuszowej wybiła trzecia. Śledztwo było skończone.

Wracał, wesoło pośpiewując. Głęboko, z prawdziwą przyjemnością wdychał świeże, morskie powietrze. Myślał o celu, który miał przed sobą i po-myślnym rezultacie poszukiwań.

Już było widać d'Ambrumésy. Izydor pędem zjeżdżał z ostatniego wzgórza. Zdawało się, że drzewa, wysadzające wjazd do zamku, wybiegają na jego spotkanie, już to zbliżają się, to znowu nikną z widnokregu.

Nagle krzyknął. Dostrzegł linę, przeciągniętą w poprzek drogi pomiędzy drzewami.

W jednej chwili rower stanął. Izydor wyleciał z niesłychaną siłą na trzy metry w górę i poczuł, że tylko cudownym trafem zdołał uniknąć kamieni, o które rozbiłby się niechybnie na śmierć.

Kilka sekund leżał nieprzytomny. Potem, najokropniej potłuczony, zcicha jęcząc, jął oglądać

miejsowość. Naprawo ciągnął się zagajnik, w którym siedział zapewne ukryty złoczyńca. Beautrélet odwiązał sznur. Do drzewa po lewej stronie, okręconego liną, przytwierdzony był szpilką kawałek papieru. Rozwinął go i wyczytał, co następuje:

„Trzecie i ostatnie ostrzeżenie“.

## ROZDZIAŁ X.

### Przerwane wyznania.

Wróciwszy do zamku, Beautrélet zadał parę pytań służącemu i zeszedł na pierwsze piętro, w którym Filel zajmował się zazwyczaj swemi sprawami. Filel pisał, sekretarz siedział naprzeciw niego. Na dany znak sekretarz wyszedł, sędzia zaś zawołał.

— Co się z panem dzieje, kochany panie? Ręce masz całe we krwi.

— Drobnostka, drobnostka,—rzekł chłopiec— upadek, spowodowany przez sznur, przeciągnięty na drodze. Poproszę tylko, abyś pan raczył zauważyć, że ta linka wzięta jest z zamku. Dwadzieścia minut temu suszyła się na niej bielizna koło pralni.

— To być nie może!

— Panie sędzio, ktoś mię tutaj szpieguje, ktoś, co wszystko widzi, słyszy, jest obecny przy moich poszukiwaniach i zna moje zamiary.

— Tak pan sądzisz?

— Jestem tego pewien. Musisz pan to wykryć, a zadanie to jest dla pana łatwe. Ja zaś ze swej

strony pragnę raz skończyć z tą sprawą, składając panu przyrzeczone wyjaśnienia. Posuwałem się naprzód szybciej, aniżeli przypuszczali nasi przeciwnicy i jestem przekonany, że skutkiem tego zaczynają oni teraz działać bardziej stanowczo. Otaczający mnie krąg coraz bardziej się zacieśnia. Mam przeczucie, że niebezpieczeństwo jest blizkie.

— To się dopiero pokaże, Beautrélet...

— Wszystko już widać. Musimy się teraz spieszyć. A najprzód pytanie co do pewnego punktu, który muszę natychmiast wyświecić. Nic pan nikomu nie mówiłeś o tym świstku, który podniósł brygadjer Kévillon i który oddał panu w mojej obecności?

— Pod słowem honoru — nikomu. Pan przywiązujesz do niego jakąś wagę?...

— Olbrzymią. Przyszła mi do głowy pewna myśl, myśl, przyznaję, na niczem nie oparta... ponieważ dotychczas nie zdołałem dokumentu tego odcyfrować. Mówię to panu... żeby nie wracać już do tego przedmiotu.

Beautrélet położył dłoń na rękę Filel'a i rzekł półgłosem:

— Cicho... podsłuchują nas... z zewnątrz...

Zaskrzypiał piasek. Beautrélet podbiegł do okna i wyjrzał.

— Niema już nikogo... ale bluszcz jest oberwany... widać ślady obcasów.

Zamknął okno i usiadł na dawnym miejscu.

— Widzisz pan, panie sędzio, że nieprzyjaciel nie zachowuje już nawet ostrożności... niema na to

czasu... czuje on również, że nadchodzi chwila decydująca... Pośpieszajmy i my, rozmówmy się szczerze, ponieważ nie życzą sobie, abym mówił.

Położył papier na stole, nie rozwijając go.

— Przedewszystkiem, panie sędzio, jedna uwaga. Na papierze tym oprócz kropek są same tylko cyfry. I tylko w pierwszych trzech wierszach, oraz w piątym kropki te mogą nas zajmować, czwarty bowiem, o ile sędzę, ma zgoła inny charakter—nie zawiera ani jednej cyfry wyższej nad 5. I tak, dobrzeby było, gdyby każda z tych cyfr oznaczała jedną z samogłosek w początku alfabetycznym. Wypiszmy i otrzymamy rezultat.

Na oddzielnej kartce napisał:

e . a . a . . e . . e . . a . . a . .  
a . . . e . e . . e . o i . e . . e . .  
. o u . . e . o . . . e . . e . o . . e . .  
d i . u i . . e . . e u . e

Poczem mówił dalej:

— Jak pan widzisz, niewielki z tego pożytek. Klucz jest równocześnie bardzo łatwy,—dość bowiem cyfry zastąpić samogłoskami, a kropki spółgłoskami,—i bardzo trudny, niemożliwy prawie do zastosowania, ponieważ zagadki rozwiązać niepodobna.

— Istotnie, jest ona nieco mglista.

— Sprobujmy ją rozświetlić. Drugi wiersz podzielony jest na dwie części; część druga zaś wygląda tak, jakby miała stanowić jedno słowo. Jeśli teraz sprobujemy na miejsce kropek postawić spółgłoski, zobaczymy po zastosowaniu przeróż-

nych kombinacji, że jedyne samogłoski, które mogą się łączyć z temi spółgłoskami, dadzą jeden tylko wyraz, a ten wyraz jest: „*d e m o i s e l l e s*“ (panny).

— Zatem chodziłoby tu o pannę de Saint-Véran i pannę de Gévres?

— Najprawdopodobniej.

— I nic więcej pan nie widzisz?

— Owszem. Pośrodku ostatniego wiersza zauważyłem pustą przestrzeń, a zastosowawszy tę samą metodę na początku wiersza, dostrzegłem natychmiast, że kropkę pomiędzy dwiema samogłoskami *ai* i *ui* można zastąpić jedynie spółgłoską *g*, a otrzymawszy w ten sposób początek wyrazu *a i g u i*, dołączam dwie następne kropki i końcowe *e*, tworząc słowo *aiguille* (igła).

— Rzeczywiście... słowo to wzbudza szacunek.

— Do ostatniego wyrazu wreszcie mam trzy samogłoski i trzy spółgłoski. Próbuję znowuż, podstawiam wszystkie litery po kolei, a wychodząc z założenia, iż dwie pierwsze bezwarunkowo muszą być spółgłoskami, przychodzę do wniosku, że mogą tu być użyte cztery wyrazy: *fleuve* (rzeka), *preuve* (dowód), *pleure* (płacz) i *creuse* (pusta, wydrążona). Wyrazy *rzeka*, *dowód* i *płacz* odrzucam, jako nie mające żadnego związku z igłą i zostawiam wyraz *wydrążona*.

— Co stanowi razem *wydrążona igła* (*aiguille creuse*). Cudownie. Przyznaję, że wniosek pański jest słuszny, przyznaję to zaś dla-



tego, że nie może nie być słusznym, ale do czego to nas doprowadzi?

— Do niczego, — odparł Beautrélet w zamysleniu.

— Do niczego w danej chwili... później, zobaczymy... Mam pewną myśl i sądzę, że w tem tajemniczem połączeniu dwóch wyrazów: *aiguille creuse*, może się kryć nie jedno. W obecnej chwili najwięcej zajmuje mię sam materiał dokumentu, papier, na którym go wypisano... Czy ten gatunek pergaminu jeszcze wyrabiają? a potem ta barwa słoniowej kości... a te załamy... papier jest zniszczony, przetarty na zgięciach... a wreszcie, patrz pan, oto ślad czerwonego wosku, na odwrotnej stronie...

W tej chwili Beautrélet zmuszony był przerwać. Sekretarz Brédoux otworzył drzwi i oznajmił niespodziewane przybycie naczelnego prokuratora.

Filel zerwał się.

— Znowuż? Pan prokurator jest na dole?

— Nie, panie sędzio. Pan prokurator nie wysiadał z karety. Jest tylko w przejeździe w d'Ambrumésy i prosi, abyś pan raczył wyjść do niego przed bramę. Ma panu do powiedzenia jedno tylko słowo.

— To ciekawe, — mruknął Filel. — No, idę zobaczyć... Przepraszam cię, Beautrélet, natychmiast wracam.

Odszedł. Słysząc było oddalające się kroki.

Wówczas sekretarz Brédoux zamknął drzwi, przekreślił klucz i schował go do kieszeni.

— Cóż to znowu? — wykrzyknął zdumiony Beautrélet. — Co pan robisz? Pocoś pan zamknął drzwi?

— Lepiej się nam będzie rozmawiało! — roześmiał się Brédoux.

Beautrélet przypadł do drugich drzwi, prowadzących do przyległego pokoju. Zrozumiał. Szpiegiem był Brédoux, sam sekretarz sędziego śledczego.

Brédoux śmiał się coraz głośniej.

— Nie złam sobie przypadkiem paznogi, przyjacielu. I od tych drzwi mam klucz w kieszeni.

— Pozostaje okno, — zawołał Beautrélet.

— Zapóźno, — rzekł tamten, stojąc przy oknie z rewolwerem w ręku.

Ucieczka była odcięta ze wszystkich stron. Nie pozostawało nic innego, jak tylko bronić się przeciwko nieprzyjacielowi, który zrzucił z siebie maskę tak niespodzianie i zuchwale. Izydor, objęty jakimś niewytłumaczonym smutkiem, skrzyżował ręce.

— Dobrze, — warknął sekretarz. — Teraz pomówimy.

Wydostał zegarek.

— Poczwiec Filel dojdzie do bramy. Przy bramie oczywiście nie zostanie nikogo. Wówczas tu powróci. Mamy zatem mniej więcej cztery minuty czasu. Jedna wystarczy, ażeby uciec przez okno, dobieść do furtki w ruinach i wskoczyć na

oczekujący mnie rower. Zostaje mi więc trzy minuty. To dosyć.

Był to mężczyzna, bardzo brzydki, na niezmiernie długich i niezmiernie cienkich nogach, o wypukłych, okrągłych plecach i długich, małych rękach. Koścista twarz, niskie, silnie sklepione czoło, dowodziły niesłychanego uporu.

Beautrélet chwiał się, nogi pod nim drżały. Usiadł.

— Mów. Czego chcesz?

— Papieru. Szukam go już od trzech dni.

— Nie mam go.

— Kłamiesz. Wchodząc, widziałem, jak wkładałeś go do portfelu.

— Dalej?

— Dalej? Zobowiąziesz się być rozsądnym. Doprowadzasz nas do wściekłości. Zostaw nas w spokoju i pilnuj tego, co do ciebie należy. Zaczynamy już tracić cierpliwość.

Podszedł parę kroków, mierząc wciąż do chłopca z rewolweru, mówił cicho, kładąc nacisk na samogłoskach, tonem niezwykle energicznym. Spojrzenie miał stanowcze, uśmiech okrutny.

Beautrélet wzdrygnął się. Poraz pierwszy w życiu poznał, co to jest niebezpieczeństwo. I jakie niebezpieczeństwo! Czuł, że stoi przed nim wróg nieubłagany, ślepa, potężna siła.

— A potem? — zapytał, ciężko dysząc.

— Potem? nic... Będziesz wolny... Wszystko puśćmy w niepamięć.

Cisza. Brédoux mówił dalej:

— Jeszcze jedna minuta. Musisz się zdecydować. No, mój kochany, dość tych głupstw... My zawsze i wszędzie jesteśmy silniejsi... Prędzej, papier...

Izydor nie poruszył się, zsiniały, wystraszony, jednak panujący nad sobą. Umysł jego, w przeciwieństwie do nerwów był spokojny, jak nigdy. W odległości dwudziestu centymetrów przed jego oczyma widniała czarna lufa rewolweru. Kurek był odwiedziony. Jeden ruch, a...

— Papier, — powtórzył Brédoux. — Inaczej...

— Oto jest, — rzekł Beautrélet.

Wyjął z kieszeni portfel i podał sekretarzowi, który pochwycił go z małpią zřecznością.

— Doskonale. Mieliśmy słuszność. Z tobą widocznie trzeba postępować trochę ostro, ale spokojnie. Powiem to towarzyszom. A teraz biegnę. Żegnaj.

Schował rewolwer i uchylił okna.

W korytarzu słycać było kroki.

— Żegnaj, — powtórzył tamten... —mam jeszcze czas.

Nagle jakaś myśl powstrzymała go. Przerzucił portfel.

— Do diabła—krzyknął, — tu niema papieru. Dobieś mnie.

Skoczył z powrotem do pokoju.

Padły dwa strzały. Izydor wy dostał rewolwer i strzelił również.

— Pudło, mój miły, — roześmiał się Brédoux, — ręka ci drży... boisz się...

Schwycili się za bary i potoczyli się na podłogę.

We drzwi walono z całej siły.

Izydor słabł, ale wciąż jeszcze brał górę nad przeciwnikiem. Po chwili jednak role się zmieniły. Ręka, uzbrojona sztyletem podniosła się i opuściła. Poczul okropny, piekący ból w ramieniu. Puścił nieprzyjaciela.

Czuł, jak przeszukiwano mu kieszenie i jak pochwycono dokument...

Też same dzienniki, które nazajutrz doniosły o ostatnich wypadkach w d'Ambrumésy, o wyłomie w kaplicy, o odnalezieniu trupa Arsenjusza Lupin i ciała Rajmundy a wreszcie o zamordowaniu Izydora Beautrélet przez sekretarza sędziego śledczego, zamieściły jeszcze dwie nowe wiadomości:

„Zniknięcie Ganimard'a i porwanie pośród białego dnia, w samym środku Londynu, udającego się na pociąg do Dover, Scherloka Holmesa“.

A zatem, szajka Arsenjusza Lupin, rozbita na chwilę, dzięki genialnym zdolnościom siedemnastoletniego chłopca, przeszła znowuż do taktyki zaczepnej i odrazu, wszędzie, na wszystkich punktach, zatrjumfowała. Dwaj główni przeciwnicy, Holmes i Ganimard, zniknęli. Izydor Beautrélet został usunięty z pola bitwy. Sprawiedliwość była bezsilna. Nie zostało nikogo, kto byłby zdolny do walki z takimi wrogami.

## ROZDZIAŁ XI.

### Dawid i Goliat.

W sześć tygodni później siedziałem pewnego wieczoru sam w swoim mieszkaniu, pozwoliwszy wyjść służącemu. Było to w wilję dnia 14 lipca. Powietrze było parne, jak przed burzą, nie miałem bynajmniej ochoty wychodzić z domu. Okna na balkon stały otworem, na stole paliła się lampa, ulokowałem się więc w fotelu, a że nie czytałem jeszcze dzienników, jałem je przerzucać.

Rozumie się, że była w nich mowa o Arsenju-szu Lupin. Po zamachu, którego ofiarą padł biedny Izydor Beautrélet, ani jeden dzień nie przeszedł, żeby nie wspomniano o sprawie d'Ambrumésy. Miała ona swą specjalną rubrykę. Nigdy jeszcze uwaga publiczności do takiego stopnia nie była pobudzona, jak obecnie, skutkiem tych wypadków, tak szybko po sobie następujących, tych niespodziewanych efektów teatralnych. Filel, przyznający się skromnie do nader podrzędnej roli w tym dramacie, opowiedział reporterom o odkryciach młodego mistrza, poczynionych w ciągu trzech pa-

miętnych dni, tak, że gazety mogły snuć najfantastyczniejsze przypuszczenia.

Zaś od tego powstrzymać się nie zdołano. Specjaliści i technicy, powieściopisarze i dramaturgowie, sędziowie i dymisjonowani naczelnicy policji, niedoszli Lecque'owie i Sherlock Holmesy, — wszyscy mieli własny sąd o rzeczy, a każdy z nich opowiadał go w niezliczonych artykułach. Wszyscy zabrali się do śledztwa.

A wszystko to z powodu paru słów, wypowiedzianych przez dziecko, przez Izydora Beautrélet, słuchacza liceum Janson de Sailly.

Co prawda, trzeba przyznać, że cała historia ta wygląda bardzo naturalnie. Tajemnica? na czem ona polega? Schronienie, w którym ukrywał się i mieszkał Arsenjusz Lupin, było znane. Doktor Délâtre, zasłaniający się dotychczas tajemnicą zawodową i uporczywie odmawiający wszelkich wyjaśnień, wygadał się jednak przed swymi znajomymi—ci zaś postarali się już, aby to roznieść,—że zawieziono go istotnie do pieczary, do ranionego, to wykazało śledztwo, przeto i autentyczność Arsenjusza Lupin. A ponieważ w tej samej pieczarze znaleziono ciało Stefana de Vaudré, który to Stefan de Vaudré był właśnie Arsenjuszem Lupin, jak to wykazało śledztwo, przeto i autentyczność Arsenjusza Lupin z ranionym zdobyła sobie jeszcze jeden jaskrawy dowód.

A zatem, Arsenjusz Lupin umarł, ciało panny

de Saint-Véran poznano po bransolecie, którą nosiła na rękę; dramat był skończony.

W rzeczywistości jednak skończony nie był. Nie był skończony dla nikogo, ponieważ Beautrélet twierdził przeciwnie. Niewiadomo było, pod jakim względem nie jest skończony, ale, zgodnie ze zdaniem chłopca, nie był on nawet rozpoczęty. Rzeczywistość nie zaprzeczała twierdzeniom Izzydora Beautrélet. Kryło się tu coś; co, nikt nie wiedział, nikt jednak nie wątpił, że student z łatwością zdoła to coś wyjaśnić.

Jakże niecierpliwie wyczekiwano z początku biuletynów o jego zdrowiu, wydawanych przez dwóch lekarzy z Dieppe, którym hrabia de Gévres oddał w opiekę ranionego. Jakaż rozpacz w pierwszych dniach, kiedy sądzono, że życiu jego grozi niebezpieczeństwo! A co za entuzjazm tego rana, kiedy dzienniki oznajmiły, że niema już żadnej obawy!

Najdrobniejsze szczegóły zachwycaly tłum. Wzruszenie było powszechne, gdy dowiedziano się, że pielęgnuje go stary ojciec, wezwany telefonicznie, że pomaga mu w tem Zuzanna de Gévres, przepędzająca noce całe u węzłowia chorego.

Rekonwalescencja następowała szybko. Zapanaowała ogólna radość. Wreszcie dowiedzą się o wszystkim! Dowiedzą się o tem, co Beautrélet przyrzekł opowiedzieć Filel'owi, tych ostatnich słów, których nie dozwoliła mu wypowiedzieć zbrodnicza ręka mordercy.



Dowiedzą się również i o tem, co, poza samym dramatem, pozostawało nieprzeniknionem, albo niedostępnem dla usiłowań sprawiedliwości.

Beautrélet wolny, najbardziej liczył na sir Garlintonę'a, zagadkowego współnika Arsenjusza Lupin, którego wciąż jeszcze trzymano pod aresztem. Dowiedzą się, co się działo po zamachu sekretarza Brédoux, drugiego współnika, którego zuchowałość była zaiste przerażająca.

Beautrélet wolny zabierze się do sprawy zniknięcia Ganimard'a i porwania Holmesa. W jaki sposób dokonano tych dwóch zamachów? Zarówno dedektywi angielscy, jak i ich paryscy koledzy nie wykryli dotychczas żadnych poszlak. W pierwszym dniu Zielonych świąt Ganimard nie wrócił do domu, zarówno, jak w poniedziałek, jak i w ciągu sześciu tygodni!

W Londynie, w poniedziałek, drugiego dnia Zielonych świąt, o godzinie czwartej po południu, Sherlock Holmes wsiadł w cab, ażeby udać się na dworzec kolejowy. Zająwszy ledwo miejsce, chciał natychmiast wysiąść, czuł bowiem niebezpieczeństwo. Ale tymczasem do dorożki wskoczyło dwóch ludzi, jeden z prawej, drugi z lewej strony, porwali go i trzymali pomiędzy sobą, a raczej pod sobą, jeśli weźmie się pod uwagę rozmiary karety. Działo się to wobec dziesięciu świadków, którzy wszakże nie zdążyli przeszkodzić porwaniu.

Cab potoczył się z niesłychaną szybkością. A dalej? Dalej nic. Nikt nic nie wiedział.

Może Beautrélet potrafi to wyjaśnić, zarówno,

jak i wytłumaczyć prawdziwe znaczenie dokumentu, tego tajemniczego papieru, któremu sekretarz Brédoux przypisywał widocznie dość znaczną wagę, skoro z nożem w rękę rzucił się na człowieka, dokument ów posiadającego. Zagadka Aiguille Creuse. Tak ją nazywali ci, co usiłowali przez ślęczenia nad cyframi i kropkami, sens jej odnaleźć. Wydrążona igła! Dziwna kombinacja wyrazów! Był że to frazes bez znaczenia, uczniowski rebus, wyrysowany na świstku papieru? czy też jakieś magiczne słowa, ukazujące działalność awanturnika Lupina we właściwym oświetleniu? Gubiono się w domysłach.

Prawda jednak zostanie wykryta. Od kilku już dni dzienniki donosiły o bliskim przyjeździe Beautrélet'a. Miała się rozpocząć znowu walka, tym razem na śmierć i życie. Izydor zaprzysiągł zemstę.

Nazwisko jego, wydrukowane grubym drukiem, zwróciło właśnie moją uwagę. „Grand Journal“ przed artykułem wstępnym zamieścił wzmiankę, następującej treści:

Otrzymaliśmy zgodę Izydora Beautrélet do do podzielenia się z nami swemi odkryciami. Jutro, we środę, zanim jeszcze sąd się o tem dowie, „Grand Journal“ opublikuje całą prawdę o dramacie w d'Ambrumésy.

— Nielada obietnica, prawda? Co myślisz o tem, mój drogi?

Podskoczyłem na krześle. Koło mnie, w fotelu

siedział ktoś, kogo widziałem pierwszy raz w życiu.

Powstałem, szukając wzrokiem jakiejś broni. Ponieważ jednak zachowanie się nieznanego nie wzbudzało podejrzeń, uspokoiłem się i podszedłem ku niemu.

Był to młody człowiek, o energicznej twarzy, okolonej długimi, jasnymi włosami; niewielka, nieco rudawa broda, była rozdzielona na dwa krótkie bakenbardy. Ubranie przypominało skromny strój pastora angielskiego, jak również cała jego postać, poważna, wzbudzająca szacunek.

— Kto pan jesteś? — spytałem go.

A ponieważ nie odpowiadał, powtórzyłem:

— Kto pan jesteś? Jakim sposobem pan tu wszedłeś? Czego pan chcesz?

Spojrzał na mnie i rzekł:

— Nie poznajesz mię pan?

— Nie... nie!

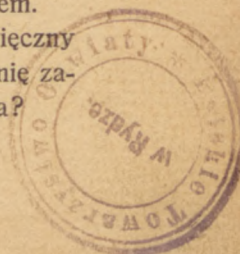
— A! to bardzo ciekawe!... Przypomnij pan sobie... jeden z pańskich przyjaciół!... którego pan znasz doskonale...

Pochwyciłem go gwałtownie za rękę.

— Kłamiesz pan!... kłamiesz... nie jesteś pan tym, za którego chcesz uchodzić... to nieprawda...

— Czemuż więc on właśnie przyszedł panu na myśl, a nie kto inny?—odrzekł ze śmiechem.

Ach! ten śmiech! ten młody, dźwięczny śmiech, subtelna ironja którego tylokrotnie mię zachwycała!... Wzdrygnąłem się. Czy podobna?



— Nie, nie, — protestowałem w niepojętem przerażeniu... — to niepodobna...

— Niepodobna, ażebym to ja był, ponieważ ja umarłem, nieprawdaż, — ciągnął dalej, — a pan nie wierzysz w zmartwychwstanie?

I znowuż się roześmiał.

— Alboż jestem z tych, co umierają? Umrzeć tak głupio, od kuli, trafiony przez młode dziewczę! Niezbyt pochlebne masz pan o mnie pojęcie! Jak gdybym ja mógł skończyć w ten sposób.

— A więc to pan!—bełkotałem niepewny jeszcze, drżący;—a więc to pan!... Nie mogę przyjść do siebie!...

— Za to ja,—powiedział wesoło, — ja jestem spokojny. Jeżeli jedyny człowiek, któremu ukazywałem się w prawdziwej postaci, nie poznał mię dzisiaj, to nikt inny, widząc mnie takim, jakim dziś jestem, nie pozna mnie tembardziej, zobaczywszy w prawdziwej postaci... o ile jeszcze mam jaką prawdziwą postać...

Teraz, kiedy zmienił dźwięk głosu, poznałem go wreszcie, poznałem jego oczy, wyraz twarzy, całą twarz, całą istotę jego pod tą maską, którą podobało mu się osłonić.

— Arsenjusz Lupin,—rzekłem półgłosem.

— Tak, Arsenjusz Lupin,—zawołał, wstając,—jedyny i prawdziwy Arsenjusz Lupin, powracający z królestwa cieni, bo wszakże umarłem, zdaje się, w jakiejś czarnej pieczarze. Arsenjusz Lupin, żyjący pełnią życia, władający całą swą wolą, szczęśliwy i swobodniejszy, aniżeli kiedykolwiek,

zdecydowany korzystać ze swej drogocennej niezależności w świecie, w którym dotychczas spotykał się z samą tylko sympatją.

Teraz przyszła na mnie kolej roześmiania się.

— A więc, to pan jesteś, tym razem o wiele weselszy, aniżeli wówczas, kiedy miałem przyjemność widzieć pana poraz ostatni, zeszłego roku... Winszuję panu.

Zrobiłem aluzję do ostatniej jego wizyty, po słynnej przygodzie z brylantowym naszyjnikiem, po zerwaniu małżeństwa, po ucieczce jego z Sónią Krichnow, napomknąłem o okropnej śmierci młodej rosjanki. Tego dnia widziałem Arsenjusza Lupin takim, jakim nie bywał nigdy, słabym, zgnębionym, z oczyma zapadłymi od łez, żebrzącym o odrobinę współczucia...

— Milcz pan,—zawołał,—przeszłość jest daleko.

— To było przed rokiem,—zauważyłem.

— To było przed dziesięciu laty, — oświadczył;—lata Arsenjusza Lupin winny być dziesięćkrotnie liczone.

Nie nalegałem i zmieniłem rozmowę.

— Jakżeś pan wszedł?

— Jak wszyscy, przez drzwi. Nie widząc nikogo, wszedłem do salonu, dostałem się na balkon i oto jestem.

— Dobrze, ale klucz od drzwi?

— Wiesz pan przecie, że dla mnie drzwi nie istnieją. Potrzebne mi było pańskie mieszkanie, więc wszedłem.

— Do usług pańskich. Czy mam pana opuścić?

— O! nie będziesz pan wcale zbyt celnym. Mogę panu nawet powiedzieć, że wieczór spędzisz bardzo wesoło.

— Czekasz pan na kogo?

— Tak, naznaczyłem tutaj spotkanie o godzinie dziesiątej...

Wyjął zegarek.

— Dziesiąta. Jeżeli telegram doszedł do miejsca przeznaczenia, on się nie spóźni...

W przedpokoju zadzwieczał dzwonek.

Czy nie mówiłem? Nie trudź się pan... sam otworzę.

Komu, u diabła, mógł naznaczyć spotkanie i przy jakiej dramatycznej, czy też komicznej scenie mam być świadkiem? Sytuacja zapowiada się obiecująco, skoro sam Arsenjusz Lupin uważa ją za ciekawą.

Po chwili wrócił, przepuszczając przed sobą we drzwiach młodzieńca szczupłego, wysokiego, z twarzą śmiertelnej bledości.

Nie mówiąc, ani słowa, z jakąś uroczystą powagą w ruchach, która budziła we mnie niepokój, Lupin zapalił elektryczność. W pokoju zrobiło się widno, jak w dzień. Wówczas spojrzeli na siebie głęboko, jakby usiłując całą mocą swego wzroku przeniknąć się nawzajem.

Poważni i milczący, budzili grozę. Któż jednak mógł być ów nawoprzybyły?

W chwili, kiedy już, już go poznawałem, dzięki podobieństwu jego do fotografii, tego dnia właśnie

zamieszczonej przez dzienniki, Lupin zwrócił się w moją stronę:

— Mój drogi, pozwól sobie przedstawić pana Izydora Beautrélet.

I natychmiast odezwał się do młodzieńca:

— Winienem podziękować panu, panie Beautrélet, przedewszystkiem za to, że zgodziłeś się na moją prośbę, odłożyć wyjaśnienia do chwili tego spotkania, następnie zaś za to, że tak chętnie pośpieszyłeś na moje wezwanie.

Beautrélet uśmiechnął się.

— Proszę zauważyć, że chęci moje są jedynie wynikiem posłuszeństwa pańskim rozkazom. Groźba, wypowiedziana we wspomnianym liście tem jest pewniejsza, że wymierzona została nie przeciwko mnie, lecz przeciw memu ojcu.

— To prawda,—odparł, śmiejąc się, Lupin,—robi się, co może, a zawsze należy korzystać ze wszystkich środków, jakie są w naszej mocy. Wiem z doświadczenia, że sposobu, w jaki opierałeś się pan argumentom imci pana Brédoux, że pańskie osobiste bezpieczeństwo jest mu obojętne. Pozostawał pański ojciec... pański ojciec, którego kochasz i szanujesz... Jąłem więc wygrywać na tej strunie.

— I przyszedłem,—stwierdził Beautrélet.

Zaprosiłem ich ruchem ręki, aby usiedli. Zajęli miejsca, poczem Lupin ciągnął dalej z ledwie dostrzegalną, właściwą sobie, ironją:

— W każdym bądź razie, panie Beautrélet,

jeśli nie przyjmujesz pan mojej wdzięczności, nie odmawiaj przynajmniej mego przeproszenia.

— Przeproszenia! A to za co, łaskawy panie?

— Za brutalność, z jaką zachował się względem niego imci pan Brédoux.

— Przyznaję, że sposób jego obejścia sprawił mnie w zdumienie. Nie był to zwykły system postępowania Arsenjusza Lupin. Uderzenie nożem...

— Ja temu nie jestem winien... Pan Brédoux wstąpił do nas od niedawna. Przyjaciele moi, zawiadując memi sprawami, sądzili, że może być dla nas rzeczą korzystną przeciągnięcie na swoją stronę sekretarza sędziego, któremu powierzone zostało śledztwo.

— Przyjaciele pańscy nie mylili się.

— Rzeczywiście, Brédoux położył znaczne zasługi. Ale pragnąc się wyróżnić, jak każdy neofita, w gorliwości swej zaszedł nieco zadaleko; zburzył moje plany i pozwolił sobie uderzyć pana nożem.

— O! niewielkie nieszczęście...

— Nie, nie, surowo go za to zgromiłem. Muszę jednak dodać na jego usprawiedliwienie, że zdjęła go rozpacz, gdy widział, z jak niezmierną szybkością prowadził pan śledztwo. Gdybyś pan był pozostawił nam jeszcze parę godzin czasu, uniknąłbyś tej brutalnej napaści...

— W każdym bądź razie, byłby mię spotkał los Sherlocka Holmesa?

— Oczywiście,—odrzekł dobrodusznie Lupin.

— Ale ja nie doznałbym takich okropnych wyrzutów sumienia. Przysięgam panu, że przechodzi-



łem ciężkie chwile, a i teraz nawet pańska bledź niepokoi mię. Nie gniewasz się pan na mnie?

— Ten dowód zaufania,—powiedział Beautrélet,—jaki pan mi dałeś, zawierając bez zastrzeżeń,—a przecież mogłem tu naprowadzić przyjaciół Ganimard'a! — ten dowód ufności, powtarzam, zmazuje wszelkie rachunki.

Czy mówił to poważnie? Przyznaję, że byłem całkiem zbity z tropu. Walka pomiędzy tymi dwoma ludźmi zaczynała się tak, że nic z tego nie rozumiałem. Lupin był ten sam, co zawsze. Taż sama ironiczna uprzejmość, taż sama taktyka. Ale cóż za szczególnego wybrał sobie przeciwnika. Czyż wogóle był to przeciwnik? Ani z wyglądu, ani z tonu nie mógł nim być w samej rzeczy. Bardzo spokojny, ale spokojny naprawdę, nie maskująca zapalczywość, bardzo grzeczny, ale bez przesady, uśmiechnięty, ale nie drwiący, stanowił uderzający kontrast z Arsenjuszem Lupin, tak uderzający, że on sam był zbity z tropu.

Nie, można z wszelką pewnością było twierdzić, że Lupin wobec tego słabego, przychodzącego do zdrowia chłopca o różowych, jak u dziewczyny, policzkach i czystem, ślicznem spojrzeniu, nie miał swojej zwykłej pewności siebie. Wahał się, nie atakował otwarcie, tracił czas na ugrzecznione frazesy.

Miał minę, jakby czegoś szukał, na coś oczekiwał. Na co? na jaką pomoc?

Znowuż zadźwięczał dzwonek. Lupin zerwał się, aby otworzyć.

Powrócił trzymając list w rękę.

— Panowie pozwolą?—zapytał nas.

Rozdarł kopertę. Zawierała telegram. Przeczytał go.

I nagle nastąpiła w nim przemiana. Twarz rozjaśniła się, ramiona wyprostowały. Wzniósł hardo głowę. Dostrzegłem w nim mocarza, panującego nad wypadkami, nad ludźmi.

Położył depeszę na stole, uderzył po niej palcami i zawołał:

— Teraz... Beautrélet, zaczynamy!

Beautrélet przygotował się do słuchania, Lupin jął mówić miarowo, sucho:

— Zrzućmy maski. Jesteśmy wrogami, występującymi przeciwko sobie, i winniśmy uważać się wzajem za takich.

— Uważać się? — zapytał Beautrélet, zdziwiony.

— Tak, uważać się za wrogów. Słowa te wypowiedziałem nie przypadkowo, powtarzam je, jakkolwiek drogo mię kosztują. Poraz pierwszy używam ich wobec swego przeciwnika. Ale i ostatni. Korzystaj pan z tego. Wyjdę stąd jedynie, mając pańskie przyrzeczenie. Inaczej—wojna.

Beautrélet wydawał się coraz bardziej zdziwiony. Ale odezwał się wesoło:

— Nie doczekasz się pan tego odemnie... dziwnie pan do mnie przemawiasz. Na co ten gniew, groźby. Czyż mamy być wrogami—dlaczego, że los postawił nas przeciw sobie? Wrogo wie... dlaczego?

Lupin zmieszał się nieco, ale w tejże chwili roześmiał się i rzekł, pochylając ku chłopcu:

— Posłuchaj, mój chłopcze, pocóż mamy do bierać wyrażenia? Chodzi tu o fakt znany, niezaprzeczalny. Od dziesięciu już lat nie spotkałem tak silnego, jak ty, przeciwnika; z Ganimard'em, z Sherlock'iem Holmesem igrałem, jak z dziećmi. Wobec ciebie muszę się bronić, więcej: cofać się. Tak, w obecnej chwili, uważam się za zwycięzonego. Izydor Beautrélet odniósł trjumpf nad Arsenjuszem Lupin. Plany moje zburzone. Wszystko, co pragnałem zostawić w cieniu, wyciągnąłeś na światło dzienne. Krępujesz mię, przeszkadzasz mi. Mam tego dosyć. Napróżno mówił ci to Brédoux. Powtarzam raz jeszcze i proszę, abys rozważył moje słowa.

Beautrélet potrząsnął głową:

— Czego pan chcesz właściwie odemnie?

— Spokoju. Każdy u siebie.

— To jest, że panu wolno wrócić do swych kradzieży, a mnie do moich nauk.

— Do swoich nauk... do czego tylko chcesz... to mnie nic nie obchodzi... Ale zostawisz mię w spokoju... Chcę spokoju.

— I czemże teraz mogę go naruszyć.

Lupin brutalnie pochwycił go za rękę.

— Wiesz pan o tem aż nadto dobrze! Nie udawaj, że nie wiesz. Jesteś w posiadaniu tajemnicy, do której przywiązuję największą wagę. Miałeś pan prawo poznać ją, ale nie masz prawa oddawać jej na pastwę ciekawości tłumów.

— Czy jesteś pan pewien, że znam tę tajemnicę?

— Jestem tego pewien: dzień za dniem zdążyłem biegiem pańskich myśli. W chwili, kiedy Brédoux uderzył pana, zamierzałeś odkryć wszystko. Potem, ze względu na swego ojca, odłożyłeś godzinę zwierzeń. Ale dzisiaj przyrzekłeś je jednemu z pism. Artykuł jest przygotowany. Za godzinę będzie złożony. Jutro się ukaże.

— To prawda.

Lupin podniósł się i wznosząc rękę do góry, krzyknął:

— Nie ukaże się!

— Ukaże się,—powiedział Beautrélet, powstając z krzesła.

Myślałem, że lada chwila rzucą się na siebie. Beautrélet nagle się ożywił. Zbudziły się w nim, jakby nowe uczucia: odwaga, duma, pragnienie walki, upojenie niebezpieczeństwa.

W oczach Lupin'a błyszczała radość, że skrzyżował wreszcie broń z nienawistnym przeciwnikiem.

— Artykuł oddany?

— Jeszcze nie.

— Masz go pan przy sobie?

— Taki naiwny nie jestem. Nie mam go przy sobie.

— Gdzież więc jest?

— Zapieczętowany w dwóch kopertach, leży w biurku redaktora. Jeżeli o północy nie będę w redakcji, odda go do druku.

— Ach! zbrodniarz,—mruknął Lupin,—wszystko przewidział.

Gniew jego wzrastał straszliwie.

Beautélet uśmiechnął się, upojony trjumbem.

— Milcz, złoczyńco,—krzyknął Lupin.—Daję słowo, on ośmiela się śmiać.

Zapanowało przykre milczenie. Lupin przeszedł o parę kroków i patrząc uporczywie w oczy chłopcu, rzekł głucho:

— Biegnij do „Grand Journal’u“.

— Nie.

— Musisz zniszczyć swój artykuł.

— Nie.

— Zobaczysz się z naczelnym redaktorem.

— Nie.

— Powiesz mu, żeś się omylił. I napiszesz inny artykuł, w którym dasz sprawie d’Ambrumésy nowe wyjaśnienie, przeze mnie ułożone.

— Nie...

Lupin porwał żelazną linijkę, leżącą na miejscu biurka, i złamał ją bez wysiłku. Blady był śmiertelnie. Wytarł czoło, po którym spływały krople potu. Upór tego młodzieniaszka wytrącał go z równowagi, jego, który nigdy nie napotkał przeszkód w swych życzeniach.

Oparł obie ręce na ramionach Beautrélet’a i rzekł, wymawiając każdy wyraz z osobna:

— Uczynisz to wszystko, Beautrélet, powiesz, że ostatnie wypadki przekonały cię o mojej śmierci, że nie podlega ona żadnej wątpliwości. Powiesz

to, ponieważ ja tak chcę, ponieważ trzeba, aby wszyscy myśleli, że nie żyję. Powiesz to, bo jeżeli nie powiesz....

— Bo, jeżeli nie powiem?

— Dziś jeszcze w nocy zostanie porwany twój ojciec, jak zostali porwani Ganimard i Scherlok Holmes.

Beautrélet uśmiechnął się.

— Nie śmieję się... odpowiadaj...

— Odpowiem, że bardzo mi jest nieprzyjemnie sprzeciwiać się panu, ale, że przyrzekłem powiedzieć i powiem.

— Powiedz tak, jak ja tego chcę.

— Powiem tak, jak jest naprawdę, — gorąco zakrzyknął Beautrélet. — Pan nie możesz tego zrozumieć: zadowolenia, konieczności nieledwie powiedzenia tego, co jest, powiedzenia głośno. Prawda znajduje się tutaj, w tej głowie, która ją odgadła i wykryła, wyjdzie z niej naga, żywa. A zatem artykuł ukaże się tak, jak go napisałem. Będzie w nim powiedziane, że Lupin żyje, będzie wskazany cel, dla którego pragnął, by uważano go za zmarłego. Będzie powiedziane wszystko.

I dodał spokojnie:

— A mój ojciec nie zostanie porwany.

Zamilkli znowuż, patrząc sobie prosto w oczy. Sztylety były na pogotowiu. A zawsze przygniatająca cisza poprzedza śmiertelny cios. Kto go zada?

Lupin wycedził przez zęby:

— Dziś w nocy, o godzinie trzeciej, dwóch

moich przyjaciół wejdzie do pokoju twego ojca, porwie go dobrowolnie, albo siłą, i zawiezie do miejsca w którym znajduje się Ganimard, oraz Szerlok Holmes.

Odpowiedziano mu wybuchem śmiechu.

— A więc nie pojmujesz, złoczyńco, — zawołał Beautrélet, — że ja także ze swej strony przedsięwziąłem środki ostrożności? A więc wyobrazasz sobie, iż jestem tak naiwny i odesłałem, jak głupiec, mojego ojca do cichego, samotnego domku na wsi?

Ironiczny uśmiech rozświetlił twarz chłopca. Uśmiech nieznanym dotychczas na jego ustach, w którym czuło się wpływ Lupina. I to wyzywające zachowanie się, stawiające go na jednym poziomie z przeciwnikiem!...

Ciągnął dalej:

— Największy błąd twój, kochany przyjacielu, polega na tem, że uważasz kombinacje swoje za doskonałe. Oświadczyłeś raz nazawsze, iż jesteś niezwyciężony! Kpiny! Jesteś przekonany, że zawsze, koniec końców, ty będziesz górą... ale zapominasz, że i inni mogą mieć swoje kombinacje. Moja jest nader prostą, mój drogi.

Przerwał na chwilę, potem kończył:

— Lupinie, ojca mego niema w Savoy'i. Jest na drugim końcu Francji, w centrum wielkiego miasta, strzeżony przez dwudziestu naszych przyjaciół, którzy otrzymali rozkaz nie spuszczenia go z oka, aż do ukończenia naszego pojedynku. Chcesz wiedzieć szczegóły? Jest w Cherbourg'u w do-

mu pewnego urzędnika arsenału, nie zapominaj o tem, zamkniętym na noc, a do którego w dzień można się dostać jedynie na mocy pozwolenia i w towarzystwie żołnierza.

Stanął przed Lupinem i spojrzął nań pogardliwie, jak dzieciak, pokazujący figę swemu koledze.

— Co powiesz na to, mistrzu?

Lupin kilka minut stał nieruchomo, ani jeden muskuł nie zadrgał mu na twarzy. Co myślał? Do jakiego czynu się przygotował? Dla tego, kto znał siłę jego gniewu, możliwe było jedno tylko rozwiązanie: zupełne, natychmiastowe, ostateczne unicestwienie wroga. Palce jego zaciskały się. Pewnej chwili czułem, że rzuci się nań i zadusi.

— Co powiesz na to, mistrzu? — zapytał powtórnie Beautrélet.

Lupin pochwycił depeszę, leżącą na stole, podał mu ją i rzekł, panując już całkowicie nad sobą:

— Masz, przeczytaj to, moje dziecię.

Beautrélet spowaźniał w jednej sekundzie. Rozwinął papier i natychmiast podniósłszy oczy szeptem zapytał:

— Co to ma znaczyć?... Nic nie rozumiem...

— Zrozumiesz wszystko od pierwszego słowa, — rzekł Lupin, — od pierwszego słowa depeszy... z nazwy miejsca, z którego została wysłana... Patrz... *C h e r b o u r g*...

— Tak... tak... szepnął Beautrélet;—tak, rozumiem... *Cherbourg*... a dalej?

— Dalej?... Zdaje mi się, że i reszta niemniej jest wyraźna: *P a k o w a n i e t o w a r u s k o ń* -



zione... towarzysze odjechali z nim i będą czekać instrukcji do godziny ósmej rano. Wszystko idzie dobrze. Co wydaje ci się tutaj niejasnym. Wyraz towar? Ba! niemożna było przecież napisać pan Beau-trélet ojciec. I co więcej? w jaki sposób dokonano tej operacji? Cud, dzięki któremu ojciec twój został porwany z Cherbourga, mimo dwudziestu strażników? Ależ to głupstwo! Co powiesz na to, dziecię?

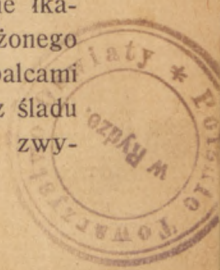
Z niepojętym wysiłkiem Izidor starał się zrobić uprzejmą minę. Ale widać było, że usta drżą mu konwulsyjnie, że zęby szcękają, że oczy napróżno usiłują spoglądać w jeden punkt. Wyszepał parę niezrozumiałych wyrazów, zamilkł, zasłonił twarz rękami i wybuchnął rozpaczliwym łkaniem:

— O! tatusiu... tatusiu...

Nieoczekiwane to rozwiązanie, oznaczające kompletne zwycięstwo, schlebające próżności Lupina, stało się wszakże czemś innym, czemś nieskończenie wzruszającym i nieskończenie naiwnym.

Lupin uczynił ruch rozdrażnienia i wziął do ręki kapelusz, jakby zmęczony tym wybuchem dziecięcego żalu. Ale na progu zatrzymał się, pomyślał chwilę, potem z wolna powrócił.

W pokoju słychać było tylko stłumione łkania, jak żalosem skargę dziecka, zwyciężonego przez rozpacz. Pomiedzy zaciśniętymi palcami spływały łzy. Lupin pochylił się i rzekł bez śladu ironji, lub obowiązkowego współczucia zwycięzcy:



— Nie płacz, dziecko. Trzeba było spodziewać się takiego ciosu, rzucając się na przeciwnika ze spuszczoną głową, jak to ty uczyniłeś. Czekają cię gorsze zawody... Taki jest los walczących. Trzeba być mężnym.

Potem mówił dalej, łagodnie, serdecznie:

— Czy wiesz, miałaś słuszość: nie jesteśmy wrogami. Zdawna już to wiedziałem... Od pierwszej chwili poczułem dla ciebie, mądrego stworzenia, mimowolną sympatię... zachwyty... I oto dla czego chciałem ci to powiedzieć... Niech cię to nie gniewa... nie miałem zamiaru cię obrażać... ale muszę ci to powiedzieć... A więc, wyrzeknij się walki ze mną... Mówię ci to nie przez próżność... tem bardziej nie dlatego, żebym tobą pogardzał... ale widzisz... walka zbyt jest nierówna... Ty nie wiesz... nikt nie wie, jakimi rozporządzam środkami, które są we mnie. Pomyśl, że całe moje życie— od dnia urodzenia nieledwie — zdążyło do jednego, jedyne go celu, że pracowałem, jak galernik, zanim stałem się tem, czem jestem, i zanim w całej pełni udoskonaliłem typ, który zapragnąłem stworzyć. I cóż chcesz uczynić? W tej samej chwili, kiedy uważałeś zwycięstwo za rzecz pewną, wymknęło ci się z rąk... Usuń się, błagam cię... będę zmuszony zadać ci ból, a to mię smuci...

I położywszy rękę na jego głowie, powtórzył:

— Poraz drugi, chłopcze, usuń się. Przyprawię cię o cierpienie. Kto wie, zali nie otwarła się już pod twemi nogami przepaść, w którą wpaść musisz.

Beautrélet podniósł głowę. Już nie płakał. Czy słyszał, co mówił do niego Lupin? Wątpię.

W ciągu paru minut milczał, ważył w sobie widocznie jakieś postanowienie, rozpatrywał szanse przeciwne i sprzyjające.

Wreszcie przemówił:

— Jeżeli zmienię artykuł, jeżeli potwierdzę wersję o pańskiej śmierci i jeżeli zobowiązę się nie poczynić żadnych wyjaśnień, czy przysięgniesz mi, że ojciec mój będzie wolny?

— Przysięgam. Przyjaciele moi udali się z twoim ojcem na samochodzie do pewnego miasta na prowincji. Jutro rano o godzinie siódmej, jeżeli artykuł w „Grand Journal’u“ będzie taki, o jaki cię proszę, zatelefonuję do nich, oni zaś zwrócą wolność twemu ojcu.

— Dobrze,—rzekł Beautrélet,—przyjmuję pańskie warunki.

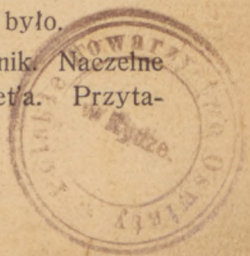
Zerwał się, jakby, zdecydowawszy usunąć od tej sprawy, uważał dalszą rozmowę za bezpożyteczną, wziął kapelusz, ukłonił się mnie, ukłonił Lupin’owi i wyszedł.

Lupin popatrzył za nim, czekał, aż drzwi się zatrzasną, potem szepnął:

— Biedne dziecko...

Nazajutrz rano posłałem służącego po „Grand Journal“. Przyniósł mi go w dwadzieścia minut: w żadnym prawie kiosku już go nie było.

Gorączkowo rozwinąłem dziennik. Naczelne miejsce zajmował artykuł Beautrélet’a. Przyta-



czam go tak, jak go wydrukowały wszystkie pisma:

### Dramat w d'Ambrumésy.

„Zadaniem tego artykułu nie jest bynajmniej chęć szczegółowego wyjaśnienia rozumowań i poszukiwań, dzięki którym udało mi się odtworzyć dramat, ale raczej podwójny dramat w d'Ambrumésy. Mojem zdaniem, praca ta i wynikające z niej komentarze, dedukcje, indukcje, analizy i t. d.,— mają jedynie względne znaczenie, a przytem nader banalne. Pragnę więc tylko wykazać dwie myśli przewodnie, kierujące memi poszukiwaniami, a wykazawszy je, opowiem wszystko poprostu, jak się działo w rzeczywistości.

Być może, czytelnicy zauważą, iż niektóre punkty w sprawie tej nie są dowiedzione i że pozostawiłem wiele miejsca przypuszczeniom. Uważam jednak, że hipoteza moja jest oparta na dostatecznej liczbie dowodów, ażeby pewne fakty, nawet niedowiedzione, zaprzeczyć mogły jej prawdziwości. Źródło ginie nieraz wśród kamienistego łożyska, niemniej jednak jest tem samem źródłem, w którym odbija się błękit niebios.

A zatem przystępuję do rozwiązania pierwszej zagadki: jakim sposobem Lupin, śmiertelnie ranny, jak mówiono, mógł żyć wciągu czterdziestu conajmniej dni, bez dozoru, bez lekarstw, bez jedzenia, w głębi ciemnej pieczary?

Na to odpowiemy od początku. We czwartek, 16 kwietnia, o godzinie czwartej nad ranem, Arse-

njusz Lupin, pochwycony niespodzianie na miejscu jednej z najzuchwalszych swych kradzieży, uciekł drogą przez ruiny i padł, trafiony kulą. Z największym trudem podnosi się, pada i znowuż powstaje, w rozpaczliwym pragnieniu dostania się do kaplicy. Jest tam bowiem pieczara, którą odkrył przypadkowo. Gdyby zdołał skryć się w niej, byłby ocalony. Wytężywszy całą swą energję zbliża się, jest już o kilka metrów, gdy nagle słycać jakiś szmer. Wyczerpany, traci siły. Zjawia się nieprzyjaciel. Jest nim panna Rajmunda de Saint-Véran.

Oto prolog, a raczej pierwszy akt dramatu.

Co zachodzi pomiędzy nimi? Tem łatwiej odgadnąć, że dalszy ciąg daje ku temu wszelkie wskazówki. U stóp dziewczęcia spoczywa człowiek śmiertelnie raniony, męczy się, za parę minut umrze. I tego człowieka ona zabiła. Zali go wyda?

Jeśli jest mordercą Jana Daval,—tak; pozwoli dopełnić się losowi. Ale on w szybkich słowach wyznaje jej prawdę. Zabójstwo w obronie własnej popełnił wuj jej, hrabia de Gévres.

Wierzy mu. Jak postąpi?

Nikt ich nie widzi. Służący, Wiktor strzeże furtki. Drugiego, Alberta, zostawiła w salonie; obaj stracili ich z oczu. Zali wyda człowieka, którego zraniła?

Ogromna litość, którą rozumieją kobiety, o-włada sercem dziewczęcia. Przewiązuje ranę chustką, aby zatamować upływ krwi. Potem kluczem, danym jej przez Lupin'a, otwiera drzwi kaplicy.

Wprowadza go. Zamyka drzwi. Nadbiega Albert.

Gdyby zajrzano do kaplicy w tejże chwili, albo może nawet w kilka minut potem, Lupin, który nie zdążył jeszcze zebrać się z siłami, podnieść kamienia i zejść po schodach do pieczary, byłby schwytany. Ale kaplicę przeszukiwano dopiero w sześć godzin potem i najpowszechniej, jak tylko można sobie wyobrazić. Lupin był uratowany. Uratowany przez tę, która chciała go zabić.

Od tej chwili panna de Saint-Véran jest jego współniczką. Nietylko, że nie może go wydać, musi prowadzić dalej dzieło miłosierdzia, bo inaczej ranny umarłby w swej kryjówce.

Więc prowadzi swe dzieło. Umie przewidzieć wszystko. Sędziemu śledczemu daje fałszywy opis Arsenjusza Lupin (przypomnijcie sobie różnicę w zdaniach obu kuzynek). Poznaje, w nieznanym mi sposób, w przebranym dorożkarzu współnika Lupin'a. Ona go ostrzega. Ona powiadamia go, że operacja jest nieuchronna. Ona zamienia czapki. Ona każe napisać ową sławną groźbę, przeciw sobie skierowaną, dla uniknięcia wszelkich podejrzeń.

Ona też w chwili, gdy wypowiadałem przed sędzią śledczym pierwsze moje wrażenia, oświadczyła, iż widziała mię w przeddzień w zagajniku, napuszcza na mnie pana Filel i zmusza do milczenia. Był to manewr nader niebezpieczny, ponieważ obudził moją uwagę i skierował ją na nią, lecz manewr bardzo zręczny, przedewszyst-

kiem bowiem trzeba było zyskać na czasie i zamknąć mi usta.

Ona w ciągu czterdziestu dni karmi Lupin'a zanosząc mu lekarstwa (zapytajcie aptekarza w Ouyville, a pokaże wam recepty, otrzymane od panny de Saint-Véran) ona wreszcie pielęguje chorego, opatruje mu ranę i przyprawia do zdrowia.

I oto mamy rozwiązanie jednej zagadki, wyjaśniającej pierwszy dramat w d'Ambrumésy. Arsenuś Lupin znalazł tuż obok, w tymże samym zamku, pomoc, konieczną dlań, z początku, aby nie być odkrytym, potem, aby żyć.

I żyje. Wówczas powstaje druga tajemnica, wyjaśnienie której jest dla mnie nicią przewodnią, a która odnosi się do drugiego dramatu w d'Ambrumésy. Dlaczego Lupin, żywy, wolny, znalazłszy się znowu na czele swej szajki, potężny, jak nigdy, dlaczego Lupin czyni rozpaczliwe wysiłki, o które wciąż się obijam, aby wmówić sądowi i publiczności wiarę w śmierć swoją?

Należy przypomnieć, że panna de Saint-Véran bardzo jest piękna. Fotografje, zamieszczone w dziennikach, są jedynie niezdarnem odbiciem tej cudnej twarzy. Stało się to, co się stać musiało. Lupin, w ciągu czterdziestu dni widujący koło siebie śliczną dziewczę, upajający się jej obecnością, rozpaczający, gdy się spóźni, jest zakochany w swej dozorczyni. Wdzięczność przeszła w miłość, zachwyty — w namiętność. Jest ona jego zdrowiem, radością jego oczu, marzeniem jego bezsennych nocy, jego światłem, nadzieją, jego życiem.

Szanuje ją tak głęboko, że nie chce korzystać z jej pomocy dla swych współników. W działaniach szajki znać pewne niezdecydowanie. Ale, kiedy pana de Saint-Véran, nie poddając się urokowi tej gwałtownej miłości, odwiedza go coraz rzadziej, w miarę, jak staje się to mniej niezbędnem; przerywa całkiem swe odwiedziny w dniu, kiedy zupełnie przychodzi do zdrowia. Wówczas, rozpaczony, zgnębiony decyduje się na krok stanowczy. Opuszcza swoją kryjówkę, przygotowuje napad i w sobotę, 6 czerwca, przy pomocy towarzyszy, porywa pannę de Saint-Véran.

Ale to nie wszystko. O porwaniu tem nie powinni wiedzieć. Trzeba uniemożliwić wszelkie poszukiwania, wszelkie domysły, samą nadzieję nawet. Więc symulują morderstwo, podsuwają sądowi dowody. Panna de Saint-Véran nie żyje. Jest to zresztą zbrodnia przewidziana, oznajmiona zdawna przez jego współników, zbrodnia, popełniona przez zemstę za śmierć ich naczelnika.

Niedość wzbudzić zaufanie, należy dać pewność. Lupin wie, że mam przybyć. Odgadnę tajemnicę pieczary. Znajdę pieczarę. Pieczara będzie pusta, cały gmach oszustw runie.

więc pieczara nie będzie pusta.

Zaś śmierć panny de Saint-Véran wówczas jedynie będzie niewątpliwą, gdy morze wyrzuci jej ciało.

A więc morze wyrzuci ciało panny de Saint-Véran.



Trudności kolosalne! Podwójna, nieprzewy-  
ciężona przeszkoda.

Tak, dla każdego innego, ale nie dla Lupin'a...

Odgaduję tajemnicę kaplicy, znajduję pieczęć.  
Spuszczam się do legowiska Arsenjusza Lupin.  
Znajduję już tylko trupa jego!

Każdy, kto śmierć Lupin'a uważał za możliwą,  
mylił się. Co do mnie, ani na sekundę nie przypusz-  
czałem tej ewentualności (z początku instynktow-  
nie, potem na mocy rozumowania). Wszystkie  
kombinacje byłyby w takim razie bezpodstawne.  
A tak być nie mogło. Przekonałem się na miejscu,  
że kamień, zrzucony uderzeniem lewaru, dziwnym  
zbiegiem okoliczności tak był ustawiony, iż za naj-  
łżejszem poruszeniem musiał spaść, padając zaś,—  
nieuchronnie zmiażdżyć głowę fałszywemu Arse-  
njuszowi Lupin; wówczas poznać go było niepo-  
dobieństwem.

Drugie odkrycie. W pół godziny potem dowie-  
działem się, że na skałach w Dieppe odnaleziono  
ciało panny de Saint-Véran... a raczej ciało, kogoś,  
kogo wzięto za nią, dzięki bransolecie, jaką nosiła  
zawsze na ręce. Był to jedyne dowód, ponieważ  
trupa niemożna było poznać.

Wtedy przypomniałem sobie wszystko;  
wszystko zrozumiałem. Na parę dni przedtem czy-  
tałem w „Vigie de Dieppe“, że pewne młode mał-  
żeństwo otruło się i że tej samej nocy ciała znikły.  
Udałem się do Anvermé, gdzie mieszkali za życia.  
Powiedziano mi tam, że wszystko to jest prawda,  
za wyjątkiem wersji o zniknięciu ciał, ponieważ

przyjechali po nie bracia obu ofiar i, dopełniwszy zwykłych formalności, trupy zabrali.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że braćmi tymi byli Arsenjusz Lupin, oraz jego wspólnicy.

A zatem, dowód istnieje. Znamy przyczynę, dla której Arsenjusz Lupin symulował śmierć panny de Saint-Véran, oraz swoją własną. Ażeby cel swój osiągnąć, nie zatrzymuje się przed niczem, waży nawet na tę nieprawdopodobną kradzież dwóch trupów, potrzebnych mu do zastąpienia ciała jego i panny de Saint-Véran. Wtedy dopiero będzie spokojny. Nikt nie dojdzie prawdy, tak zrećźnie zatartej.

Nikt? Nie... W razie czego trzech przeciwników mogłoby powziąć podejrzenie. Ganimard, który lada chwila miał przybyć, Sherlock Holmes, gotujący się do opuszczenia Londynu i ja, który znajdowałem się na miejscu. Groziło mu zatem potrójne niebezpieczeństwo.

Odwrócił je od siebie. Porwał Ganimard'a. Porwał Sherlocka Holmesa. Kazał Brédoux uderzyć mię nożem.

Pozostawał jeden tylko ciemny punkt. Dlaczego Brédoux, posłuszny rozkazom Lupin'a, tak usilnie starał się wyrwać z rąk moich dokument o „Aiguille Creuse“. Wiedział wszakże, że odebrawszy mi go, nie zdoła zatrzeć w mojej pamięci nakreślonych tam znaków? Dlaczego zatem obawiał się, żeby sam gatunek papieru, albo inna jaka wskazówka nie naprowadziły mię na właściwą drogę?

Ale zostawmy to na stronie. Prawda o sprawie d'Arbrumésy jest wyświetlona. Powtarzam, iż w wyjaśnieniach moich dość znaczną rolę odgrywa przypuszczenie, w poszukiwaniach zaś i moich osobistych wnioskach, odgrywały one rolę dominującą. Ale gdyby dla pokonania Arsenjusza Lupin chciało się wyczekiwać faktów i dowodów, trzeba by zaryzykować niejedno.

Jestem pewien, że kiedy fakty staną się znane, przypuszczenia moje znajdą potwierdzenie we wszystkich punktach“.

Tak więc, Izydor Beautrélet, zwyciężony na chwilę przez Arsenjusza Lupin, przerażony porwaniem swego ojca, koniec końców nie zdołał się zdecydować na milczenie. Prawda była zbyt pociągająca, zbyt niezwykła; dowody, które mógł przytoczyć, — zbyt logiczne i zbyt przekonujące, ażeby zdołał się zgodzić na przeinaczenie prawdy.

Cały świat oczekiwał jego wyjaśnień. Beautrélet przemówił.



Dalsze losy bohaterów „Zbrodni w zamku“ opisane będą w powieści p. t. „Tajemnica Królowej“.



121-

## Spis rozdziałów.

---

	<i>Str.</i>
ROZDZIAŁ I.	
Zabójca znika bez śladu . . . . .	3
ROZDZIAŁ II.	
Najmłodszy z dedektywów występuje na scenę	8
ROZDZIAŁ III.	
Uciezka Beautrélet'a . . . . .	28
ROZDZIAŁ IV.	
Nowe wiadomości. Porwanie doktora Delâtre .	32
ROZDZIAŁ V.	
Co skradziono w zamku . . . . .	37
ROZDZIAŁ VI.	
Pierwsza przestroga . . . . .	59
ROZDZIAŁ VII.	
Czy panna de Saint-Veran została zamordowana?	67
ROZDZIAŁ VIII.	
Poszukiwania . . . . .	73
ROZDZIAŁ IX.	
Okradziona kaplica . . . . .	77
ROZDZIAŁ X.	
Przerwane wyznania . . . . .	89
ROZDZIAŁ XI.	
Dawid i Goliat . . . . .	98

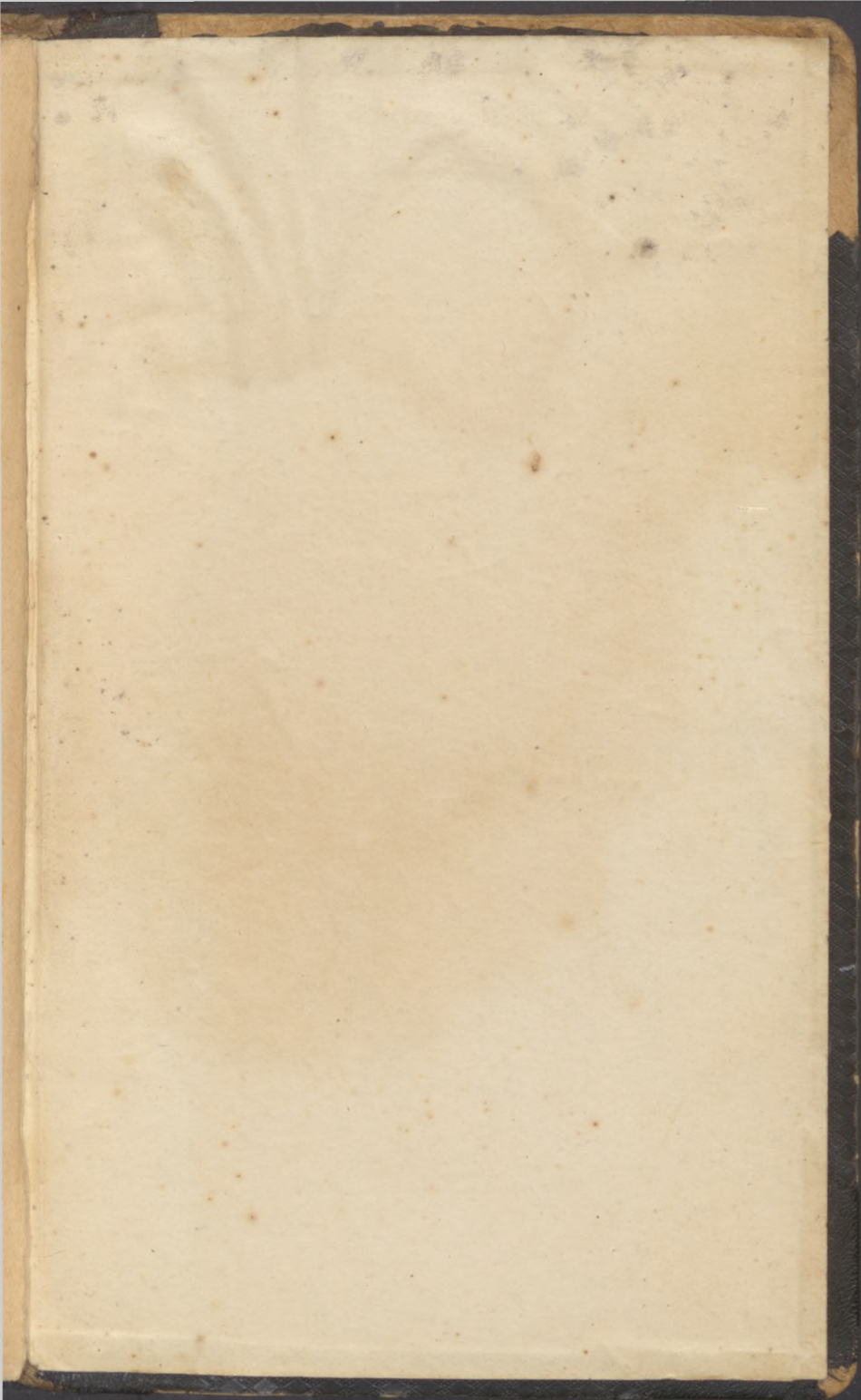
---

Biblioteka Główna UMK



300002709416

Ches. p. deblenc M.



Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

814661

23

814661  
Biblioteka Główna UMK



300002709416